czyt. 2552/1978/23

ZWIĄZKI LENINA Z LUBLINEM

Albin Koprukowniak str. 3

Pierwszy wieżowiec

Bronisław Kowalski str. 7

Egzemplarz obowiązkowy BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 12 XI 1978 NR 23 (665) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

POLITECHNIKA I PRZEMYSŁ

Tadeusz Graba

WSPÓŁPRACA z przemysłem takiej uczelni jak Politechnika Lubelska to kwestia raczej oczywista, integralnie związana z charakterem partnerów. To stwierdzenie wspiera długa lista zakładów produkcyjnych z różnych miast kraju, które alokowały w kilku instytutach szkoły sporo zleceń na wykonanie oadań naukowych takiego to, a takiego problemu, czy też na opracowanie konkretnego rozwiązania technicznego. W szeregu kontrahentów znajdziemy zatem duże fabryki Lublina, Świdnika, Kraśnika, Warszawy Katowic, Tarnowa, Puław, Gliwic, a także instytucje projektowe, naukowe etc. Sporo mówi poza tym fakt, iż pod względem liczby wynalazków na jednego nauczyciela akademickiego Politechnika Lubelska zajmuje pierwsze miejsce wśród wszystkich 17 uczelni krajowych tego typu.

W tej sytuacji eksponowanie tytułowej kwestii może doprowadzić tylko do jednego: publicystycz-

Dokończenie na str. 4

Motor wygrał - cyk! Motor przegrał - siup!

Wojciech Kurhan

ANDRZEJ Doraczyński, zastępca dyrektora do spraw pracowniczych Fabryki Samochodów Ciężarowych w Lublinie, stwierdza, że sprawa alkoholu w zakładzie nie jest drastyczna ani też czołowa pośród kłopotów. Toteż ewidencji owego tematu nie prowadzi się. Niemniej przy analizach dyscypliny sprawę bierze się pod uwagę, ponieważ przypadki picia alkoholu czy nietrzeźwości w fabryce zdarzają się i nie maleją, niestety.

Kazimierz Borys, zastępca komendata straży przemysłowej w FSC, podaje, że miesięcznie kilkanaście osób nietrzeźwych jest zatrzymanych w bramach zakładu przy wchodzeniu do pracy, podobną liczbę zatrzymuje się wewnątrz fabryki podczas godzin pracy, kilku osobom przy wejściu konfiskuje się alkohol.

Jak na wielotysięczną załogę nie jest to dużo, aczkolwiek żaden tego rodzaju przypadek nie może być obojętny. A ponadto wiadomo, że jeśli przez bramę przechodzi tysiące ludzi, nie sposób każdemu uważnie się przyjrzeć, każdą teczkę skontrolować, choćby tylko w dniach „zagrożonych" — wypłat, popularnych imienin. Bywa także, iż mieszkańcy przyfabrycznego osiedla podają pracownikom wódkę przez ogrodzenie zakładu. Bywa, iż nie wpuszczony przez bramę nietrzeźwy pracownik forsuje płot, aby się dostać do zakładu.

Jeśli ktoś nie popełnił przestępstwa ani nie spowodował wypadku przy pracy pod wpływem alkoholu, to w zasadzie nie można go zmusić do użycia probierza trzeźwości lub badania krwi. W balon dmuchać nie będzie i twierdzi, że jest trzeźwy — tymczasem warta powiada, że jest pijany. Trzeba spisywać protokół, podawać świadków.

Dokończenie na str. 4—5

KSZTAŁTY MYŚLI POLITYCZNEJ NIEPODLEGŁEJ POLSKI

Roman Tokarczyk

MYŚL polityczna niepodległej Polski jest wizerunkiem ideowym kreującego ją narodu polskiego — jego pragnień i celów uczeczywistnianych zasobnością ekonomiki, elastycznością polityki i bogactwem kultury rozwijającej się już przez tysiąclecia.

U zarania II Rzeczypospolitej, na progu niepodległości nad rozdarciem ideowym rozdartego narodu dominowała wyraźnie jednocząca go idea niepodległego narodu polskiego. I to był pierwszy ważny szczebel integracji ówczesnej polskiej myśli politycznej. Idea niepodległości przenikała do głębi wszystkie człony składowe tej myśli — i tej proburżuazyjnej i tej proletariackiej i tej proobszarniczej i tej chłopskiej i tej katolickiej i tej świeckiej. Graniczne zarysy jej członów pokrywały się z liniami podziałów klasowych narodu polskiego zamazywanych niekiedy wielonarodowościowym składem społeczeństwa polskiego tych lat, zbiegały się jednak zawsze w węzłowym punkcie, któremu imię niepodległość. I to było ważne znamię ciągłości polskiej myśli politycznej.

Gdy idea niepodległości narodu polskiego stała się faktem, okazało się, że jednolity w swej zdrowej ambicji niepodległościowej naród polski jest narodem społeczeństwa wieloklasowego, wielowarstwowego, wielostrukturalnego, koegzystującego we wspólnych granicach terytorialnych z mniejszościami narodów innych. Ideolodzy poszczególnych klas i warstw starali się swoją klasę bądź warstwę wynieść do poziomu siły przodującej w narodzie i mającej decydować o przyszłości całego narodu. Ale każda z klas i warstw społecznych, przemawiała ustami wielu ideologów. I tu wyłaniał się drugi szczebel integracji ówczesnej polskiej myśli politycznej — integracja klasowa bądź warstwowa. Po drugim szczeblu łatwo zrozumieć trzeci. Owa integracja przebiegała po dwóch liniach — z jednej strony klas i warstw niepos iadających, zmierzających ku idei internacjonalizmu, z drugiej zaś

Dokończenie na str. 12

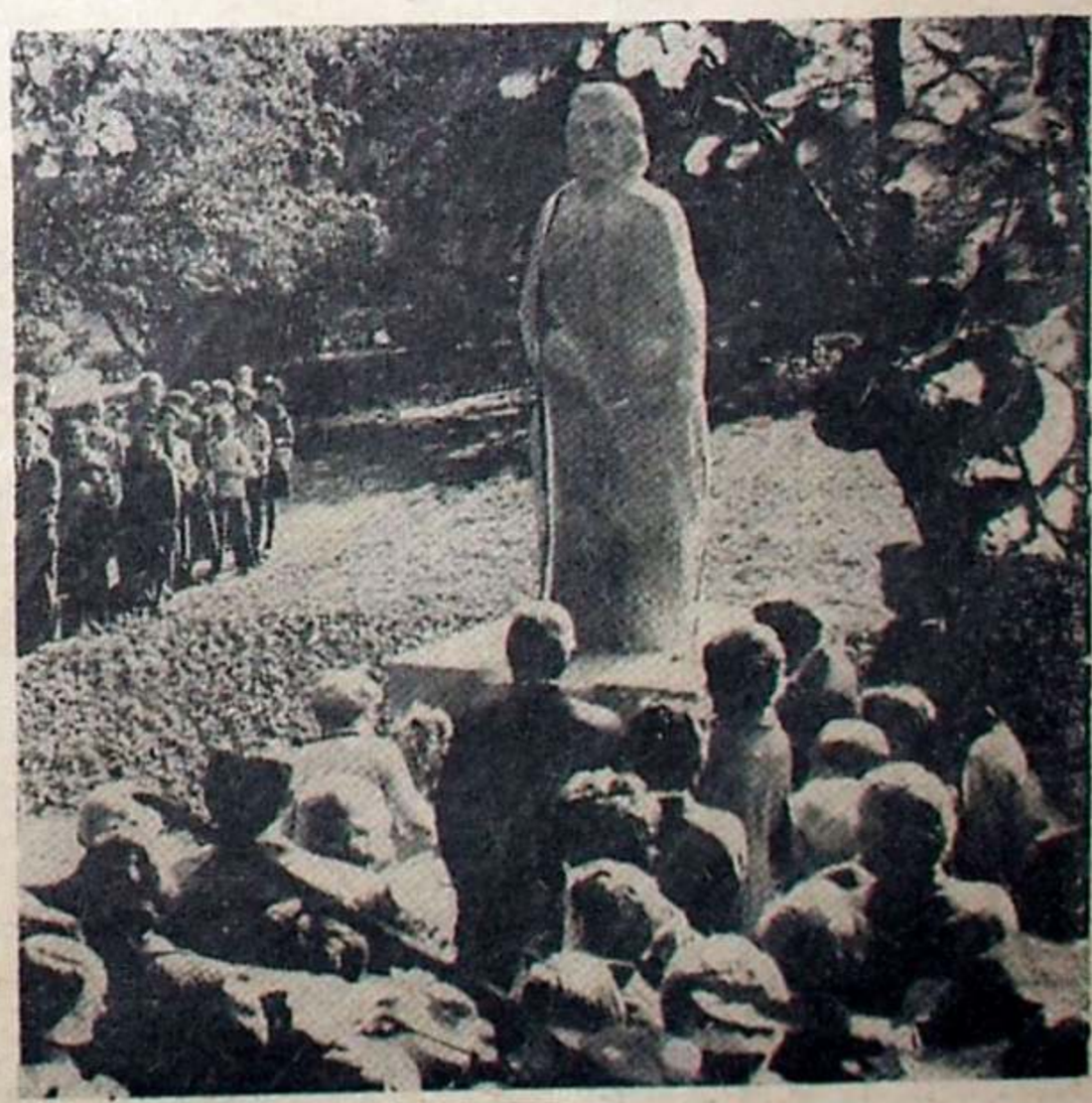

Odsłonięcie pomnika Henryka Wieniawskiego w Lublinie

Fot. J. Trembecki

z notatnika

24 X. Plenum WRZZ w Chełmie, już dziewiąte po nowym podziale administracyjnym kraju. Temat obrad obszerny: zadania ogniw i instancji związkowych województwa chełmskiego w rozwijaniu działalności kulturalno-oświatowej i podnoszeniu kwalifikacji zawodowych załóg. Wśród gości — sekretarz CRZZ, Stanisław Lewandowski.

Przysłuchuję się dyskusji. Najbardziej interesujące są słowa wypowiadane, a nie czytane. Zresztą, gdy się czyta, można popełnić tak kapitalny lapsus językowy jak „kaźnia kadr" zamiast „kuźnia kadr". Oczywiście nie każdy umie wypowiadać się płynnie, ale przecież najważniejszy jest problem. Właśnie istotny problem znalazł się w wypowiedzi Tadeusza Persza, dyrektora zasadniczej szkoły przyzakładowej przy fabryce obuwia. „Ilu mamy u nas takich — zapytał mówca — którzy mają tylko podstawowe wykształcenie? Kto ma pomóc tym ludziom w uzupełnieniu kwalifikacji? I jak pomóc? Słyszę, że dla pracujących trzeba o połowę zmniejszać zakres tematyczny wykładów. A przecież to dorośli ludzie, którzy często, chociażby z lektury gazet czy czasopism, mają więcej wiadomości niż kilkunastoletni uczniowie..." Dyrektor nie postawił kropki nad „i", ale wydaje mi się, że chodziło mu o to, abyśmy nie kształcili półinteligentów i poprzez mechaniczną redukcję materiału nie wyrządzali krzywdy tym zaocznym uczniom. Mówca wskazał też na konieczność utrzymywania przez szkołę, którą kieruje, ścisłej więzi z zakładem pracy. A tymczasem część pracowników szkoły podlega resortowi oświaty, część — resortowi branżowemu, co nie ułatwia planowanych zadań.

W dyskusji mówiono też sporo o sojuszu świata pracy z kulturą. Osobiście nie chciałbym, aby ów sojusz przejawiał się w prezentacji tych obrazów, którymi ozdobiona była sala obrad...

27 X. Z mieszanymi uczuciami obejrzałem rewię „Hallo Paris", którą lubelska Estrada pokazała nam w ramach dorocznych Prezentacji. Co za nierówny poziom wykonawców! Nasza hala sportowa jest wprawdzie pakowna, można w niej zmieścić wielu widzów, zgarnąć od nich sporo złotówek, ale nie każdy występ udaje się w hangarze! Taki np. balecik chętnie bym sobie zobaczył w eleganckiej restauracyjce, sącząc przednie wino... Wolno pomarzyć. A swoją drogą byłoby interesujące zbadać, ile do biletów na tego typu imprezy dokładają rady zakładowe? Znakomity, choć nienowy, temat dla w miarę wścibskiego dziennikarza.

28 X. Bogumił Wróblewski, prezes Koła Młodych Pisarzy przy lubelskim oddziale ZLP, podarował mi siedem nowych zbiorków członków Koła. Swe utwory w pięknie wydanych książeczkach zaprezentowali: Krzysztof Paczuski, Jerzy Krzysztof Misiec, Stanisław Sadurski, Anna Waszczuk-Listowska, Waldemar Dras, Wiesław Aleksander Kałabun i Aleksander Rozenfeld. Z ostatniej strony można się dowiedzieć: „wydano w funduszu Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, zrealizowano przy pomocy Zarządu Wojewódzkiego Socjalistycznego Związku Studentów Polskich i Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie". Młodzi mają więc dobrych mecenasów i gdy jeszcze raz usłyszę, że się ich w naszym mieście nie docenia, że się ich nie popiera, będę pierwszy, który rzuci kamieniem. Na temat samej poezji, czyli zawartości zbiorków, nie wypowiadam się, od tego są krytycy. Gdy się jednak naczytam: „Wola uwalnia mnie od czucia zmysłowego, jesteśmy / teraz niczym dwa wolne duchy / mieszamy szyki głowom państwa, zmieniamy hasła, / liczne dywersje"; gdy się jednak naczytam: „co to za świat / w który wsiąkają promienie / moich myśli / kiełkujące we mnie / ze spermy kamienia"; gdy się jednak naczytam: „marzenie z kobietą / zapiętą po szyję / dławiącą we mnie świat wyrobiony jak ciasto / trzymającą na piersi moją oderwaną rękę" to gotów jestem w pełni zgodzić się z moim przyjacielem, Zygmuntem, że poezja polska skończyła się na Gałczyńskim...

31 X. Poezja poezją, a żyć trzeba. Dziś w Warszawie odbyła się ogólnokrajowa narada gospodarcza na temat założeń narodowego planu społeczno-gospodarczego na 1979 rok. Edward Gierek podkreślił, że warunki, w których żyjemy i działamy, są trudne. Recesja gospodarcza w krajach kapitalistycznych spowodowała nasilenie się praktyk dyskryminacyjnego traktowania handlu z krajami socjalistycznymi, w tym także i z naszym krajem. Nasza kadra kierownicza musi się przyzwyczaić do działania w tych trudnych warunkach. Trzeba dołożyć wszelkich starań, by import zabezpieczał przede wszystkim niezbędne dostawy surowców i materiałów do produkcji oraz elementów kooperacyjnych. Trzeba też wykorzystać krajowe możliwości rozwoju produkcji importowanych dotychczas elementów kooperacyjnych.

Jakość produkcji... Zbyt cenne są dziś surowce i materiały, zbyt wielkie nakłady trzeba łożyć na ich import, by można sobie pozwolić na marnotrawstwo w tym zakresie. Czasami opłaca się produkować mniej, ale lepiej.

Równowaga rynkowa... Kluczowy problem — jej utrwalenie. Konsekwentniej niż dotychczas trzeba oddziaływać na wszystkie elementy kształtujące równowagę — na wzrost produkcji rynkowej, lepsze asortymentowe i jakościowe dostosowanie jej do potrzeb, na dyscyplinowanie wypłat na rzecz ludności i na poprawę pracy handlu.

Zmiany cen... Istnieje tu potrzeba wzmożenia partyjnej kontroli, a w szczególności nad zmianami tych cen, które są ustalane w trybie zdecentralizowanym.

Problemy, problemy... Jakże by zresztą ich nie było w niełatwym współczesnym świecie...

1 XI. Święto Zmarłych. Chryzantemy co roku droższe, badylarze już sami nie wiedzą, ile żądać za kwiaty, a produkcja państwowa czy spółdzielcza w tej dziedzinie ciągle w powijakach. Przed rokiem pisaliśmy o paskarskich cenach świerkowych gałęzi. W tym roku nic się nie zmieniło. Handlarze, różne niebieskie ptaki opanowały rynek. Pytam się publicznie, czy nasz uspołeczniony handel nie może dogadać się z Okręgowym Zarządem Lasów Państwowych i po godziwej cenie sprzedawać gałęzie, podobnie jak w grudniu sprzedaje całe drzewka? Świerk to przecież nie chryzantema, a planowe wycinki, czy jak to się nazywa, to rzecz przecież normalna.

A swoją drogą wiele grobów przez cały rok pozbawionych jest kwiatów. Przyjdzie to Święto Zmarłych i wówczas „zastaw się i postaw". Postaw się, niech zobaczy sąsiad, niech zobaczy znajomy, jak rodzina pamięta o Drogim Nieobecnym!

Kosztowne nagrobki to problem osobny, chociaż, wydaje mi się, że bardziej są one potrzebne... żywym niż umarłym. No, ale i żywi wznoszą sobie pomniki, widocznie nie ufając zbytnio swym dzieciom czy wnukom. Już są nazwiska, daty urodzin, na wyrycie w marmurze czeka tylko data śmierci.

Problem ten występuje i na Węgrzech. Ostatnio dziennik związkowy „Nepszava" pisał, że za przykład chaosu konsumpcyjnego uważa grobowce wznoszone za życia. Ta moda opanowała i węgierską wieś. W latach sześćdziesiątych na Węgrzech znacznie wzrosły dochody osób zatrudnionych w rolnictwie. W początkowej fazie budowano nowe domy, wyprawiano dzieci, teraz wznosi się grobowce. Autor artykułu przeprowadził kilka charakterystycznych rozmów. Jeden z mieszkańców oświadczył, że „sama robocizna wyniesie 30 tysięcy forintów. A jeśli policzymy wszystko — działkę, cement, no i szwedzki granit, to 120 tysięcy. Grobowiec zaprojektowaliśmy na cztery osoby, ale spocznę w nim tylko z żoną i moją matką. Dzieci niech myślą o sobie". Autor przytacza inny przykład: do przedsiębiorstwa zajmującego się budową grobowców przybyła dwoma samochodami pewna rodzina. Chcieli kupić płytę nagrobkową z granitu szwedzkiego. Oferowano płytę wartości 40 tysięcy forintów. Nie kupiono jej, bowiem na ten cel przeznaczono... 90 tysięcy. „Sąsiad położył płytę za 80 tysięcy. Nasza musi być cenniejsza". A znów pewna kobieta licząca dziś lat 65, postawiła sobie grobowiec, wprawdzie skromniejszy, ale mieszka w lepiance. Gdy zapytano, ją, dlaczego nie przeznaczyła tych pieniędzy raczej na wyremontowanie domu, odpowiedziała: „Ile lat będę jeszcze w nim żyć? Grobowiec zaś pozostanie na wieki."

Mentalność, której nie rozumiem i której nigdy nie zrozumiem... Bohater filmu „Spirala" miał życzenie, by jego zwłoki spalono po śmierci. Gdyby tak wszyscy chcieli i gdyby ich wolę można było uszanować, byłoby więcej miejsca dla żywych. A tak już jest, że przez wszystkie dni roku, poza tym jednym, 1 listopada, liczą się jedynie żywi...

2 XI. Iran. Wzrost napięcia. Wczoraj ponad 100 tysięcy demonstrantów przemaszerowało ulicami Teheranu. W zagłębiu Khuzistanu wojsko okupuje od środy wszystkie urządzenia przemysłu naftowego. Irański Front Narodowy żąda przeprowadzenia referendum, które zadecydowałoby o losie monarchii. A tymczasem amerykański departament obrony wydał oświadczenie, w którym wyraża przekonanie, że „Iran zdoła zabezpieczyć tajną broń amerykańską w razie zagrożenia jej w wyniku konfliktu wewnętrznego". Tu warto dodać, że w ostatnich sześciu latach Iran zakupił znaczne ilości broni amerykańskiej, na którą wydał 19 miliardów (!) dolarów. M.in. zainstalował supertajny system rakietowy Phoenix, zdolny rozpoznać i zniszczyć sześć samolotów równocześnie.

Afryka. Konflikt ugandyjsko-tanzański. Rząd Tanzanii opublikował komunikat, z którego wynika, że wojska ugandyjskie, wspierane przez czołgi i artylerię, przekroczyły granicę i podeszły pod miasto Kyaka.

Ameryka Południowa. Argentynę i Chile ogarnia psychoza wojenna. Przedmiotem sporu są wysepki Pluton, Nueva i Lennox, położone poniżej argentyńskiej części Ziemi Ognistej. Nie chodzi zresztą o kawałek ziemi, ale o podmorskie złoża ropy naftowej.

Sekretarze generalni partii komunistycznych Chile i Argentyny wezwali do zachowania pokoju. Ich zdaniem konflikt zbrojny między obu krajami przyniesie jedynie korzyść monopolom brytyjskim i amerykańskim, które węszą za ropą naftową i bogactwem mórz arktycznych.

No i wiadomość z Watykanu. Jan Paweł II przyznał wszystkim pracownikom watykańskim gratyfikacje w kwocie 300 tysięcy lirów w związku z objęciem pontyfikatu. Gratyfikacja jest taka sama dla wszystkich — począwszy od sprzątaczy, a skończywszy na kardynałach. Agencja amerykańska UPI stwierdza, że fakt ten może wywołać niezadowolenie wśród lepiej płatnych urzędników watykańskich.

3 XI. Przenoszę się na grunt lubelski. KW PZPR wspólnie z UMCS-em przygotował sesję naukową w 60 rocznicę odzyskania niepodległości: „Polska myśl społeczno polityczna i jej realizacja 1918—1978".

Dwa artykuły, opracowane na podstawie referatów — Tadeusza Mencla o wewnętrznych przesłankach odzyskania niepodległości i Wiesława Śladkowskiego — o międzynarodowych uwarunkowaniach drukowaliśmy w dwóch poprzednich numerach „Kameny". Chętnie wydrukowalibyśmy i inne teksty, ale, o ile wiemy, zamierza z nich skorzystać codzienna prasa, a więc trudno ją dublować. Obok wspomnianych tekstów zainteresowała mnie praca Jana Lewandowskiego o Tymczasowym Rządzie Ludowym Republiki Polskiej w Lublinie i Zygmunta Mańkowskiego „1918—1944. Próba paraleli historycznej". Oczywiście przemawia przeze mnie subiektywizm, jako że i inne referaty zawierały wiele nowych myśli. Faktem jest, że sama sesja została bardzo starannie przygotowana, a materiały ukazały się w specjalnym wydaniu. Mogą one stanowić wspaniałą pomoc naukową dla nauczycieli historii, wychowania obywatelskiego, polonistyki. I to nie tylko w Lublinie i w województwie lubelskim. Aż szkoda, że materiały sesji ukazały się tylko w nakładzie 400 egzemplarzy, takim samym, jak zbiorki poetyckie młodych. Gwoli uczciwości dziennikarskiej dodam, że redaktorem naukowym materiałów jest Zygmunt Mańkowski, członek kolegium redakcyjnego „Kameny". Nasz sympatyczny przyjaciel był na tyle skromny, że nie zaproponował redakcji druku swojej pracy. Jak nas ktoś nie uprzedzi, to ją zaprezentujemy na łamach naszego pisma.

MAJ

SZPALTA O SPORCIE

MIESIĄCE październik i listopad — okres obchodów rocznicy Rewolucji Październikowej — są zawsze okazją do zapoznawania się społeczeństwa polskiego z różnymi dziedzinami życia naszego wielkiego sąsiada — Związku Radzieckiego. Obok wielu innych ciekawych imprez związanych z tą rocznicą zasługuje na odnotowanie wystawa zorganizowana w Wojewódzkim Domu Kultury w Lublinie zatytułowana „ZSRR — kraj turystyki, ZSRR — kraj przyjaciół".

Nie miejsce tu na opisywanie samej ekspozycji, pięknych barwnych fotogramów z różnych stron Kraju Rad od Białorusi, Ukrainy i Bałtyku do Oceanu Spokojnego, od wiecznej zmarzliny po wieczną zieleń Soczi i republik zakaukaskich.

Pierwsze państwo socjalistyczne — największe państwo świata rozciąga się przez wszystkie prawie strefy klimatyczne i to jest jednym z jego walorów turystycznych. Posiada na swym terenie zabytki architektury sprzed kilkunastu wieków, miasta starej Rusi ze starą architekturą słowiańską i miasta nowe powstałe już w latach władzy radzieckiej i to jest drugi wielki walor turystyczny.

Wieczne śniegi Kaukazu i ciepłe Czarne Morze z ośrodkami wypoczynkowymi w Soczi, Gagrze, Picundzie i innych miejscowościach oraz świetne zagospodarowanie tych ośrodków stwarzają szanse dla amatorów sportów zimowych i letnich w ciągu całego roku.

Wielkie miasta Moskwa, Leningrad, Kijów, Mińsk i wiele innych zawsze wywołują wielkie zainteresowanie turystów całego świata. Najwięcej jednak odwiedza ZSRR turystów polskich. W ciągu ostatnich lat blisko 1,3 mln Polaków odwiedziło ten kraj. W tym tylko roku liczba turystów polskich w ZSRR wyniesie 135 tysięcy.

Radzieckie biuro podróży „Intourist", które jest współorganizatorem wystawy w WDK, oferuje polskim turystom 135 tras wycieczkowych, które wiodą przez sto kilkadziesiąt miast. Proponuje też trasy samochodowe; jest ich 16 o łącznej długości 11 tysięcy km.

Podróże do ZSRR proponowane turystom obejmują różne formy. Jest ich aż 20. Od wypoczynkowych i leczniczych pobytów poprzez zwiedzanie miast do wycieczek specjalistycznych w różnych dziedzinach gospodarki i nauki.

W przyszłym roku „Intourist" będzie obchodził swoje pięćdziesięciolecie. W związku z jubileuszem zostaną opracowane nowe trasy wycieczkowe. Nowością też będą wycieczki na Spartakiadę Narodów ZSRR, która da przedsmak emocji olimpijskich.

A potem w 1980 roku Igrzyska Olimpijskie. Codziennnie będzie mogło je oglądać 600 tysięcy widzów, w tym 400 tysięcy z zagranicy. Wielce uproszczone będzie przekraczanie granicy. Podstawą jej przekroczenia będzie bilet na igrzyska i vaucher na świadczenia zakupiony w odpowiednim biurze podróży.

Ale igrzyska olimpijskie za dwa lata. A już teraz zawsze serdeczni ludzie radzieccy chętnie witają turystów z bratniej Polski. Warto więc zapoznać się z propozycjami polskich biur podróży w tej dziedzinie. Warto też obejrzeć ciekawą wystawę w WDK

tgw.

ZWIĄZKI LENINA Z LUBLINEM

Na marginesie książki Walentyny Najdus

Albin Koprukowniak

WŚRÓD wielu problemów i kwestii podejmowanych w publikacjach — naukowych i publicystycznych, w audycjach radiowych i telewizyjnych a odnoszących się do określenia bilansu naszych dziejów w ostatnich 60-ciu latach sporo miejsca zajmują związki tych losów z dziejami myśli europejskiej i ruchów społeczno-rewolucyjnych. Truizmem jest dziś twierdzenie, że niepodległy byt narodowy polski w 1918 r. wyrastał z dążeń i czynu narodowowyzwoleńczego kilku pokoleń Polaków czasów niewoli, z ich pracy na dźwiganiu społeczno-gospodarczym rozdartych granicami trzech części polskich ziem zaborowych itd. Nie można również zaprzeczyć, że niepodległość wyrosła także z określonych uwarunkowań zewnętrznych sprzyjających konfiguracji w stosunkach międzynarodowych. I warto w tym miejscu podkreślić, iż rzecznikiem najbardziej konsekwentnym niepodległej Polski był proletariat europejski, w tym klasa robotnicza państw zaborczych, a szczególnie rosyjscy robotnicy. Orędownikami idei niepodległej, suwerennej i demokratycznej Polski byli przywódcy międzynarodowego ruchu robotniczego, w tym przede wszystkim Lenin.

Związki Lenina z polskim ruchem robotniczym i „kwestią polską" są powszechnie znane. Godzi się jedynie w tym miejscu przypomnieć, że zostały one bardzo pogłębione podczas jego pobytu na ziemiach polskich w latach 1912—1914. Lenin mógł nie tylko z autopsji śledzić warunki społeczne i życie polityczne w Galicji (w Krakowie i na Podhalu), ale uczestniczyć aktywnie wraz z żoną, Nadieżdą Krupską, w życiu społeczno-kulturalnym. Stykał się z wieloma działaczami różnych polskich ugrupowań politycznych, ale i także ze zwykłymi robotnikami, chłopami, urzędnikami. Pośród tych działaczy SDKPiL i PPS-lewicy, PPSD Galicji i Śląska Cieszyńskiego, wybitnych polskich pisarzy i publicystów, przedstawicieli świata lekarskiego, ruchu młodzieżowego, studentów, górali i wieśniaków — znaleźli się także mieszkańcy Lublina, lub ludzie z miastem tym w różny sposób związani. Informacji, bardzo interesujących, dostarcza nam lektura ostatniej publikacji Walentyny Najdus [1]).

Autorka, profesor Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk, ponownie powróciła do czasów pobytu Lenina na ziemiach polskich, wzbogacając poprzednie swoje publikacje, weryfikując poglądy — zarówno swoje jak i innych — na niektóre kwestie czy drobne epizody związane z tym pobytem. Profesor W. Najdus w swoim jakże bogatym dorobku naukowym, odznaczającym się rozległą erudycją, głęboką znajomością problemów polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego i najnowszych dziejów ojczystych, przynosi wciąż nowe fakty do problematyki, wydawałoby się powszechnie znanej.

Nie jest moją intencją recenzowanie tej urokliwej książki, ale w miarę możliwości przybliżenie czytelnikom „Kameny" tych faktów, które bezpośrednio dotyczą regionu lubelskiego i Lublina.

Oto w tym samym dniu (22 VI 1912 r.) zatrzymali się w hotelach krakowskich m. in. goście z Lublina. Podaję tę wzmiankę, gdyż właśnie w tym samym czasie w hotelu „Victoria" zameldował się Lenin z Krupską, co w dniu następnym odnotował „Czas". W skrupulatnie prowadzonych przez N. Krupską księgach adresowych, krajowych i zagranicznych, na 264 adresy w 110 miejscowościach w kraju, w tym w Królestwie Polskim, „znalazły się w ich liczbie adresy w gub. lubelskiej i z terenu Zagłębia Dąbrowskiego" (s. 55). Na kartach tej książki występuje nazwisko Jana Kowala, urodzonego w 1873 r. w Polichnie, w ówczesnym pow. janowskim gub. lubelskiej, od młodych lat związanego z PPS „Proletariat", więźnia Cytadeli. Następnie Kowal był asystentem prof. Stefana Jentysa Stacji Doświadczalno-Rolniczej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Właśnie do jego mieszkania przy ul. Lenartowicza przychodził Lenin po przesyłki pocztowe, prowadząc z gospodarzem długie rozmowy.

W mieszkaniu przy ul. Lubomirskiego odwiedzał Lenina Aleksander Bucewicz, rodem z Międzyrzeca Podlaskiego, który w 1910 r. usunięty został z Instytutu Rolnictwa i Leśnictwa w Puławach, w 1911 r. skazany na cztery lata zesłania. O zaburzeniach w tym czasie studentów w Puławach wspomina również w swojej pracy Stanisław Krzykała, zwracając uwagę, że 27 studentów usunięto z uczelni, wielu cofnięto pomoc a 122 udzielono nagany [2]).

Wspomniany A. Bucewicz zbiegł do Krakowa i podjął studia w Studium Rolniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pierwszy raz przyszedł do mieszkania Lenina ..... z polecenia Bagockiego jako sekretarza Krakowskiego Związku Pomocy dla Więźniów Politycznych". (s. 80). Tenże Bucewicz oraz inny lublinianin, Eugeniusz Eibisch, malarz, wspominają, że najbardziej utkwiły im w pamięci stosy książek i gazet w mieszkaniu Lenina.

Jednym z asystentów słynnego sanatorium przeciwgruźlicznego w Kościelisku, dr. Kazimierza Dłuskiego, był dr Stefan Rudzki, znany działacz PPS w Lublinie, kierownik Komitetu Okręgowego tej organizacji u schyłku rewolucji, członek Krakowskiego Związku Pomocy dla Więźniów Politycznych, członek Towarzystwa Szkoły im. Staszica, które powstało w 1913 r. i miało na celu utrzymanie prywatnej koedukacyjnej szkoły Praussów, założonej w 1911 r. w Zakopanem. Rudzki należał do grona znajomych Lenina podczas jego pobytu w Zakopanem w 1913 r.

W 1913 r. na łamach leninowskiej „Prawdy" zamieszczono informacje m. in. o strajkach w Lublinie i Kolei Nadwiślańskiej. Wśród wielu prac Lenina z jego polskiego okresu poświęconych kwestii narodowej znalazły się również publikacje związane z wydzieleniem Chełmszczyzny. Problematyka narodowa zajmowała bardzo ważne miejsce w teoretycznej i praktycznej działalności Lenina podczas jego pobytu na ziemiach polskich. To zainteresowanie wyraziło się m. in. w tym, że bardzo dokładnie wypytywał w 1914 r. Sergiusza Petrykowskiego *), znanego lubelskiego działacza SDKPiL o poglądy lubelskiej młodzieżowej organizacji socjalistycznej na kwestię narodową. Co więcej — skontaktował go z Haneckim, aby sprawę tę przedyskutować.

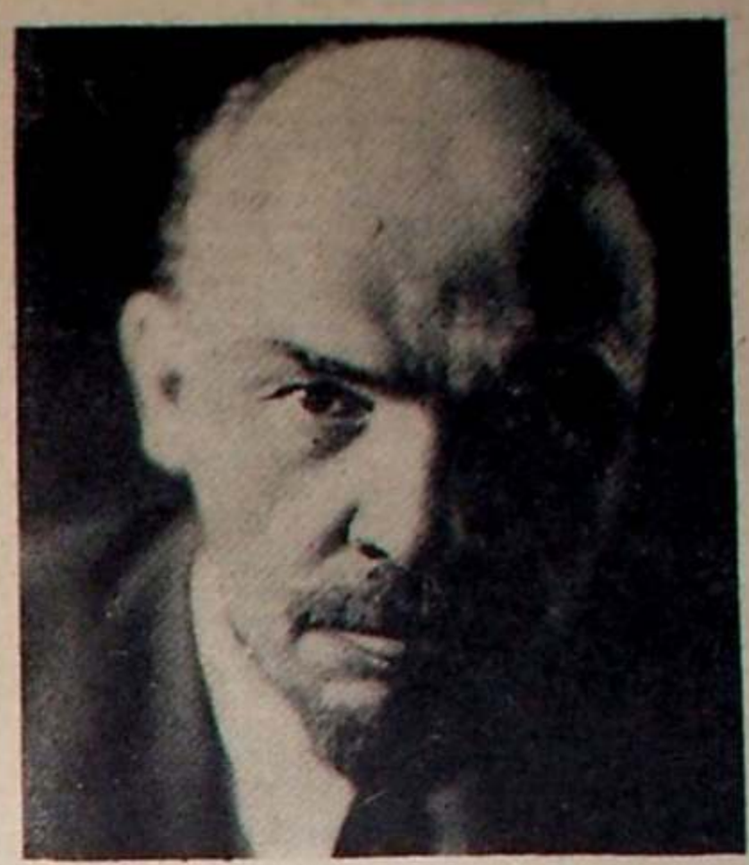

W notatniku N. Krupskiej znajdują się także adresy działaczy lewicowej młodzieżowej organizacji „Spójnia" w Krakowie, która bardzo zbliżyła się do programu bolszewickiego. Wśród członków organizacji byli m. in. Marian Zempliński, wnuk Gracjana Chmielewskiego, dyrektora Gimnazjum im. Staszica w Lublinie, Jan Swaczyna, syn praczki z Lublina, absolwent tegoż gimnazjum oraz „trzech innych wychowanków dyrektora Chmielewskiego", którzy zamieszkali przy ul. Rakowieckiej 11 a. Byli to: Witold Tomorowicz (20 lat), urodzony w Zamościu, syn znanego w Lublinie geometry, działacza społecznego, zesłańca politycznego, członka PPS, Henryk Biernacki i Eugeniusz Eibisch.

Witold Tomorowicz studiował na UJ prawo. Bardzo ciekawą charakterystykę pozostawiła o nim inna znana lublinianka, rewolucjonistka, Teodora Feder: „Kiedy patrzyłam jak olbrzymi, nawet dość tęgi, w zniszczonym ubraniu, wymachując rękami szybko kroczył, zazwyczaj schodząc z chodnika na jezdnię, wydawało mi się, że przypomina raczej bezrobotnego murarza niż wielce wykształconego prawnika. Jedynie twarz intelektualisty kontrastowała z tym ubiorem. Był typowym abnegatem życiowym" (s. 286).

Jego bliskim kolegą był wspomniany Henryk Biernacki (19 lat) z Kowla, student Wydziału Lekarskiego, członek Krakowskiego Związku Pomocy dla Więźniów Politycznych, a w okresie międzywojennym ceniony społeczny lekarz MOPR-u. Trzecim — był Eugeniusz Eibisch (18 lat), „Mały", student Akademii Sztuk Pięknych, syn technika lubelskiej gazowni.

Eibisch wspomina, że mieszkanie ich odwiedzał Lenin, dając im listy, które przenosili przez granicę w okolicy Trzebini. Studenci natomiast odwiedzali mieszkanie Uljanowów na Lubomirskiego. W. Tomorowicz pisał w życiorysie: „Lenin (...) dawał nam regularnie „Prawdę" i książki do czytania ze swojej biblioteki. Wówczas po raz pierwszy przeczytałem „Dwie taktyki", zapoznałem się z pracami Lenina w kwestii rolnej, z rezolucjami Konferencji Praskiej i innymi partyjnymi materiałami bolszewickimi" (s. 286—287).

Warto wreszcie przypomnieć, że przez Lubelszczyznę prowadziły przynajmniej dwa nielegalne szlaki przerzutowe literatury i ludzi z Rosji do Lenina w Krakowie i Poroninie. Pierwszy zorganizowany został w 1912 r. przez Mikołaja Krylenkę, syna nadzorcy I Okręgu Lubelskiego Urzędu Akcyzowego. M. Krylenko wraz z Mikołajem Czerlunczakiewiczem, znanym socjaldemokratą, pracowali w prywatnej szkole handlowej Władysława Kunickiego i gimnazjum im. S. Staszica — Gracjana Chmielewskiego. Krylenko po krótkiej przerwie podjął ponownie pracę w szkole handlowej w 1911/1912 roku. Po naradzie z Leninem w 1912 r. postanowił zorganizować „zieloną drogę". W notesie Krupskiej odnotowane są trzy „skrzynki pocztowe" — w Lublinie, trzy punkty, gdzie można było zatrzymać się w mieście: mieszkanie Jana Petrykowskiego, wieloletniego nauczyciela (jego syn, Sergiusz, aktywnie pracował w transporcie nielegalnej literatury), mieszkanie Włodzimierza Bałandowicza, kancelisty lubelskiego Urzędu Akcyzowanego oraz mieszkanie M. Czerlunczakiewicza oraz innego kolegi Krylenki, Antoniego Remiszewskiego, późniejszego wojewody lubelskiego.

Nielegalna trasa wiodła od stacji Uhnów przez wsie Rzeczyca i Żerniki (tu zatrzymywano się u małorolnego chłopa, krawca Stefana Kluczkowskiego po stronie galicyjskiej) i następnie do wsi Ratyczów w Królestwie Polskim. Przewodnikiem przyjezdnych był 23-letni Wasyl Stiepaniczyn. Trasę tę bardzo dokładnie odnotowała N. Krupska: „Stacja Uhnów 3 (wiorst) od granicy w Austrii, wieś Żerniki (gmina Czerkasy), ostatnia prawa chata na lewo wzdłuż drogi, zapytać o Stefana Kluczkowskiego, hasło: „Wracam z Ameryki", poproszę o wywołanie z Rosji Wasyla Stiepaniczyna" (s. 76). Trasę tę znał doskonale S. Petrykowski oraz jego szkolny kolega, Eugeniusz Pindyczuk, mieszkający na stałe we wsi Pieniany gm. Łaszczów, pow. tomaszowski, a w 1912 r. mieszkający w Warszawie przy ul. Koszykowej 19. I ten adres był skrupulatnie odnotowany przez N. Krupską. Mankamentem tej drogi był bardzo skomplikowany dojazd do Krakowa. Wygodniejsza była wypróbowana droga: Kraków — Zagłębie — Lublin — Kijów. Żywot „zielonej drogi" przez południową Lubelszczyznę był krótki, albowiem Krylenko najpierw wyjechał do Petersburga a następnie po powrocie do Lublina, powołany został do wojska.

W. Najdus, analizując wspomnienia Aleksieja Kisielewa, przewodniczącego petersburskiego związku metalowców, który w lecie 1914 roku spotkał się z Leninem w Poroninie, doszła do wniosku, że jechał on przez Lubartów, skąd „przechodziła zarówno linia kolejowa, jak i droga samochodowa na Zamość i Tomaszów (...) z Tomaszowa do granicy 6 km, po drugiej stronie granicy z Bełżca zaczyna się linia galicyjskiej kolei żelaznej na Rawę Ruską" (s. 315). Trasa ta wiodłaby zatem w bliskim sąsiedztwie szlaku przetartego w 1912 r., zwłaszcza w jej części południowo-wschodniej. Warto w tym miejscu dodać, że pierwsza i druga nielegalna trasa przebiegała przez tereny o nabrzmiałych konfliktach społecznych i znacznych wpływach ugrupowań politycznych, co nie było bez znaczenia przy organizacji „zielonej drogi".

Pragnę w końcu zasygnalizować, że N. Krupska zanotowała w swoich wspomnieniach, iż w drodze do Szwajcarii po zwolnieniu Lenina z więzienia w Nowym Targu zatrzymali się w Krakowie najpierw w domu przy ul. Rakowieckiej 3, (ale gospodyni „nie miała zresztą do nas głowy. Dopiero co stoczono pierwszą bitwę pod Kraśnikiem"), a następnie w hotelu naprzeciw dworca, skąd obserwowali pociąg z rannymi: „Za noszami biegli krewni tych, którzy brali udział w bitwie pod Kraśnikiem, zaglądali w twarze zmarłych i umierając z trwogi, że poznają w nich swych bliskich" (s. 371—372).

Wyeksponowane tzw. lubelskie związki z Leninem w czasie jego pobytu na ziemiach polskich, a zaczerpnięte z książki W. Najdus mają na celu przybliżenie mało lub zupełnie nieznanych szerszemu ogółowi czytelników tych faktów. Jednocześnie pragnę przez to zachęcić do zaznajomienia się z treścią tej wielce pouczającej publikacji, pięknie wydanej, napisanej stylem wartkim, ciekawie i bardzo dobrze udokumentowanej, w tym również dokumentacją fotograficzną. Książka W. Najdus przybliża nam jeden z elementów naszego dzisiejszego rodowodu i jednocześnie wspaniałą kartę patriotyzmu i internacjonalizmu naszego narodu.

---

[1]) Walentyna Najdus, Lenin wśród przyjaciół i znajomych w Polsce 1912—1914. KiW. Warszawa 1977, s. 398 i ilustracje.

[2]) Stanisław Krzykała, Studenci Instytutu Rolniczo-Leśnego w Puławach w walce z caratem (1909—1914), Lublin 1962, s. 175—178.

[*]) Zob. Albin Koprukowniak, W stulecie urodzin Włodzimierza Iljicza Lenina, „Kalendarz Lubelski" 1970, s. 10.

Dokończenie ze str. 1

nego usatysfakcjonowania ludzi, którzy zdynamizowali działalność naszej uczelni i — jak to się mówi — trzymają rękę na pulsie gospodarki, rokrocznie zgłaszają ponad 40 projektów wynalazczych, w ostatnich latach zyskali 30 patentów i praw ochronnych i w ogóle idą do przodu. Istnieje przecież w tej całej sprawie coś bardzo pouczającego, godnego przedstawienia w celach niejako dydaktycznych. Rzecz w tym, że faktyczne współdziałanie uczelni z przemysłem — współdziałanie odpowiednio szerokie i perspektywiczne — datuje się od kilku dopiero lat, choć ta nasza szkoła akademicka posiada sporą już tradycję, sięgającą 1953 roku, kiedy to powołano w Lublinie WSI. Jeszcze cztery lata temu uczelnia zajmowała ostatnie miejsce w Polsce pod względem wartości prac badawczych przypadających na jednego nauczyciela akademickiego, podczas gdy obecnie — siódme, co jest chyba niezłą pozycją wśród szkół technicznych wyższego stopnia. Jaka jest przyczyna owego sukcesu, który pracuje na dobre imię Politechniki Lubelskiej także w opinii publicznej?

Zabrzmi to paradoksalnie, może nawet humorystycznie, jeśli utożsamimy je z racjonalnym, planowym podejściem do problemu „uczelnia a przemysł". Od kogo bowiem, jak od kogo, ale od uczelni technicznej na pewno należałoby wymagać aktywności racjonalnej, więc cóż to za odkrycie zawiera poprzednie stwierdzenie... Banał, truizm i tak dalej. A jednak niezupełnie.

Za czasów Wyższej Szkoły Inżynierskiej badania naukowe oraz współpraca z przemysłem i innymi jednostkami gospodarki uspołecznionej miały charakter jakby chałupniczy. Pracownicy naukowi coś tam sobie skrobali na własny rachunek, dorabiając na zleceniach zakładów produkcyjnych, które kierowały do budynku przy ul. Dąbrowskiego wszelaką drobnicę, prawdę mówiąc — niegodną uwagi takiej uczelni. Tak jednak było, bo wykładowcy WSI rekrutowali się z reguły z kadry inżynierskiej

POLITECHNIKA I PRZEMYSŁ

fabryk lubelskich i szczególnych predyspozycji do pracy faktycznie naukowej raczej nie posiadali.

Obecnie Politechnika dysponuje planem badań naukowych na lata 1976—1980, który przewiduje wykonanie prac o wartości 454,7 mln złotych. 40 proc. tej sumy to nakłady na prace wchodzące w zakres centralnego planu badań; kolejne 40 proc. przeznacza się na prace dla jednostek gospodarki uspołecznionej, znajdujących się przede wszystkim w obrębie makroregionu lubelskiego; 20 proc. pochłoną badania własne, wynikające z problematyki zgłaszanej przez zakłady produkcyjne i z potrzeb kształcenia kadry. Takie uporządkowanie działalności, wsparte koncentracją potencjału uczelni na pięciu kierunkach specjalizacji naukowej, sprawdziło się w praktyce, przynosząc duże korzyści i Politechnice i gospodarce narodowej. Szczególnie dobre efekty daje fakt ulokowania wielu prac w centralnym planie badań, który obejmując dłuższe okresy czasu i gwarantując odpowiednie środki, umożliwia uczelni prowadzenie sensownej polityki podnoszenia poziomu własnej kadry. Wymiernym wskaźnikiem rosnącego autorytetu Politechniki jest przy tym liczba ośmiu umów licencyjnych, wprowadzających wynalazki jej pracowników do zakładów produkcyjnych Lublina, Warszawy, Koszalina, Kraśnika oraz Sandomierza, gdzie w tamtejszej hucie „Vitrohut" ulokowano rozwiązanie antyimportowe. Poszczególne umowy dadzą efekty ekonomiczne w granicach od miliona do dwóch milionów złotych. Wyjątkowo wymowny jest też fakt, że Politechnika Lubelska prowadzi obecnie 11 prac wdrożeniowych w różnych fabrykach kraju, których wartość waha się od 46 tysięcy do 2,5 mln złotych. Urządzenie do badania wyłączników samoczynnych w linii produkcyjnej zakładów „Kontakt" w Czechowicach-Dziedzicach, opracowane przez zespół pod kier[illegible]n doc. dr inż. Tadeusza Janowskiego, równ[illegible] pozwoliło na rezygnację z zakupu za granicą stosowanej aparatury, zatrzymując w kraju grube dewizy. Zresztą „Kontakt" tak się rozochocił do współpracy z Politechniką, że próbował lokować w Lublinie zamówienia na prace o wartości 10 mln złotych rocznie, co niestety nie mogło być przyjęte ze względu na zobowiązania uczelni wobec własnego regionu oraz z uwagi na ograniczone możliwości kadrowe i wykonawcze naszej szkoły akademickiej.

Można zatem stwierdzić z satysfakcją, że Politechnika racjonalnie współpracuje z gospodarką — właśnie dzięki planowaniu swej działalności. Najciekawsze przy tym, że takie podejście do sprawy nie wszystkim przypadło do przekonania. Podawano w wątpliwość samą zasadę planowania w nauce, wskazując na rolę przypadku i intuicji w badaniach, na trudności z określeniem czasu przeznaczonego na takie czy inne prace. Rezerwa wobec nowego systemu planowania, a tym samym finansowania badań, który zaczęto wprowadzać w życie pięć lat temu, pojawiła się zresztą w skali całego kraju, pod przyodziewkiem różnych argumentów kryjąc zwyczajną obawę przed ryzykiem w rodzaju: „A jak nam nie wyjdzie?!" W Lublinie wyszło, to właśnie, niemal wzorcowo, udało się opracować system współpracy z przemysłem. A kiedy okazało się, że elastyczny plan dopuszcza korekty, zmiany w kierunkach badań na rzecz gospodarki, że wzmacnia ostatecznie uczelnię pod względem materialnym i naukowym, w innych ośrodkach złapano się za głowę. Było jednak za późno, bo kto w odpowiednim terminie nie sformułował planu, nie zgłosił ofert do programu centralnego, ten nie otrzymał środków finansowych, nie znalazł kontrahentów. Tymczasem podczas minionych pięciu lat wartość prac badawczych w Politechnice Lubelskiej wzrosła osiem razy!

Pora przecież wyjaśnić, że Politechnika nie zamieniła się w spółdzielnię usługową. Współdziałanie z przemysłem i innymi jednostkami gospodarki uspołecznionej nie jest bowiem celem uczelni, lecz środkiem jej rozwoju naukowego. Warto o tym pamiętać, bo sprawa wiąże się z instytucją, która wpływa na poziom kwalifikacji kadry inżynierskiej nie tylko naszego regionu, w taki czy inny sposób decyduje o postępie technicznym, jest ośrodkiem inspiracji intelektualnej. Przyjmowanie każdego zlecenia ze strony przemysłu, bez oglądania się na to, czy posiada ono aspekt twórczy, wyzwalający potencjał naukowy kadry akademickiej, choć na pewno intratne doraźnie, prędzej czy później musiałoby zdyskwalifikować szkołę wyższą do skromnej rangi placówki usługowej, kształcącej miernie, zgoła zbytecznej.

Świadomość tego faktu, na ogół mocno zakorzeniona wśród pracowników naukowo-dydaktycznych uczelni, nie zawsze istnieje u kontrahentów, szczególnie tych, którzy reprezentują mniejsze zakłady produkcyjne. W rezultacie w Politechnice pojawiają się zlecenia na np. przeprowadzenie ekspertyzy zagrzybienia pomieszczeń i temu podobne, które należałoby kierować choćby do wyspecjalizowanych zakładów NOT-u. Odgrywa tu pewną rolę tradycja, pamięć o procederze uprawianym niegdyś przez Wyższą Szkołę Inżynierską. Takie zlecenia są, naturalnie, odrzucane. Warto przy tym wiedzieć, że w Politechnice działa wielopoziomowy system kwalifikacji wniosków przemysłu, który skutecznie oddziela ziarno od plew, co przecież nie wszystkich pracowników uczelni satysfakcjonuje. Każda bowiem robota owocuje honorariami. Ale te indywidualne pragnienia nie mają wpływu na zasadnicze kierunki i model działania Politechniki.

W jaki sposób docierają do przemysłu informacje o możliwościach naukowych i wykonawczych uczelni? Do niedawna podstawowe zadania informacyjno-propagandowe spełniał zespół do spraw współpracy z przemysłem, istniejący w ramach Rady Społecznej Politechniki, który organizował w zakładach pracy liczne spotkania i pokazy urządzeń autoryzowanych przez szkołę. Jego rola obecnie nieco zmalała, a to w związku z wprowadzeniem coraz większej grupy problemów naukowo-badawczych uczelni do planu centralnego. Ponadto Politechnika prowadzi żywą działalność wydawniczą, publikuje patenty, urządza sesje naukowe (najbliższa w grudniu br.). Dobrym też łącznikiem między nią a przemysłem jest ponad czterdziestoosobowa grupa nauczycieli akademickich, którzy pracują dodatkowo jako konsultanci zakładów produkcyjnych. Wiadomości o dokonaniach i potencjale badawczym Politechniki odnaleźć można poza tym w ogólnokrajowym systemie informacji naukowo-technicznej, w publikacjach resortu itp. A rezultaty przewyższają nierzadko oczekiwania i moce szkoły: sama tylko konstrukcja wzbudników do wstępnego podgrzewania form odlewniczych zainteresowała 30 fabryk z całego kraju. Wielu chętnych odejdzie jednak z kwitkiem, ponieważ uczelnia nie posiada odpowiednich warsztatów; projekt zakładu doświadczalnego figuruje, jak dotąd, na papierze — z tzw. względów obiektywnych. A te wzbudniki to bardzo zmyślne urządzenia: redukują pewną operację techniczną z trzech godzin do 15 minut.

Inna sprawa to wprowadzenie konkretnych opracowań Politechniki do praktyki przemysłowej. Uczelnia pilnie śledzi losy własnych wynalazków i rozwiązań, zrealizowanych na zlecenie zakładów produkcyjnych, kierując po sześciu miesiącach od momentu przekazania opracowania specjalne ankiety do kontrahentów. W zasadzie otrzymuje pisma potwierdzające sprawę, a nawet dziękczynne. Zachodzi jednak podejrzenie, że niektóre zakłady mijają się z prawdą w swoich relacjach.

Specjalnego rodzaju komplikacje rodzą umowy wdrożeniowe, ściślej — określenie ich efektów ekonomicznych. Przemysł najbrutalniej w świecie obniża wartość finansową owych efektów, bo wtedy mniejsze kwoty przekazuje na konto uczelni, powiększając tą drogą własny fundusz socjalny, środki na nagrody itp. Według obliczeń zakładów pracy efekty ekonomiczne opracowań Politechniki wyniosły w tym roku 12 mln złotych, gdy tymczasem uczelnia doliczyła się 96 mln! Nawet biorąc pod uwagę, że każdy patrzy własnego interesu, trudno przejść nad tą „rozpiętością" do porządku rzeczy. Komplikacje tego rodzaju wynikają podobno z odmiennych w poszczególnych resortach zasad naliczania efektów ekonomicznych w przypadku umów wdrożeniowych. Zresztą cała kwestia współpracy nauki z przemysłem oraz jednostkami gospodarki uspołecznionej odmiennego typu nie doczekała się dotąd przejrzystego i jednoznacznego uporządkowania w sferze przepisów. Tak czy inaczej Politechnika Lubelska ceni sobie szczególnie umowy wdrożeniowe, albowiem widzi w nich żyzny teren n a u k i poprzez d o ś w i a d c z e n i e.

Dodajmy na koniec, że uczelnia prowadzi badania naukowe na rzecz takich przede wszystkim resortów i jednostek, jak przemysł maszynowy, górnictwo, komunikacja, budownictwo i przemysł materiałów budowlanych, energetyka i energia atomowa.

Tadeusz Graba

Motor wygrał - cyk!

Dokończenie ze str. 1

Zabiera mu się przepustkę i odsyła delikwenta do domu, a nazajutrz protokół wraz z wyjaśnieniem zatrzymanego wędruje do kierownictwa. Oczywiście zdarza się, iż pijany wpierw wędruje do izby wytrzeźwień, wieziony wprost spod bramy zakładu, lub — w przypadku ciężkiej psychozy alkoholowej — do szpitala w Abramowicach, skierowany przez przychodnię zakładową.

Pora jednak na przeprowadzenie pewnych rozróżnień. Hanna Czaplińska-Gajowniczek, kierownik przychodni zakładowej FSC, opowiada o kilku grupach pacjentów. Kilka osób leczy się odwykowo w Abramowicach, kilka poddaje się systematycznemu leczeniu ambulatoryjnemu w przychodni FSC, kilka woli korzystać z poradni przeciwalkoholowych w mieście. Ich choroba — alkoholizm — ma odpowiedni numer statystyczny w międzynarodowej klasyfikacji chorób, urazów i przyczyn zgonów. Występuje tutaj wyraźne uzależnienie od alkoholu. Pacjenci, wspomagani przez medycynę, usiłują się wyleczyć, z różnym skutkiem zresztą. I to jest osobny problem, ludzi chorych właśnie. I skuteczności leczenia.

Lecz obok alkoholizmu jako choroby można by wyróżnić — przy istnieniu stadiów pośrednich — pijaństwo jako zjawisko obyczajowe. Są imieniny kierownika, jest okazja. Dzień wypłaty, okazja. Drużyna futbolistów Motoru wygrała (przegrała) — okazja (radość lub smutek). W pomeczowe poniedziałki pełno w przychodni FSC skacowanych kibiców. Ich dolegliwość ma też swój numer statystyczny i nazywa się zatruciem alkoholowym. Ale tego numeru bez zbadania krwi nie można wypisać w zwolnieniu, a klient twierdzi, że nie pił, tylko głowa go jakoś boli. Wtedy się dzwoni do mistrza, aby na niego uważał, no i dał mu lżejszą robotę.

Tacy pijący od okazji do okazji przysparzają więcej strat społecznych niż alkoholicy, bo jest ich więcej i są trudniej uchwytni. Jeśli się nietrzeźwego przyłapie na terenie fabryki i udowodni mu nietrzeźwość, są oczywiście do dyspozycji kary regulaminowe: upomnienia, nagany, utrata funduszu nagród (tzw. trzynastki — do 100 procent nawet). Ale w FSC mi powiedziano, że kary pieniężne odbijają się głównie na rodzinie pijaka, który i tak pił będzie. Zresztą znam ludzi, którzy twierdzą, że i podwyżki cen alkoholu uderzają przede wszystkim w rodziny pijących.

Zbysław Księżopolski, kierownik sekcji czasu pracy w FSC, powiedział, że próbowali nazwiska pijaków ogłaszać publicznie w gazetkach na wydziałach. Może i skutkowało, tyle że wywieszki znikały po pół godzinie. Bardzo długo wałkowała się sprawa likwidacji sprzedaży alkoholu w sklepie spożywczym na osiedlu awaryjnym FSC, blisko fabryki. Wałkowała się długo, choć ustawa o zwalczaniu alkoholizmu (z 10 XII 1959 r.) wyraźnie zakazuje sprzedaży wódki i wina w takich miejscach. Obecnie już się tam alkoholem nie handluje, ale sam w Lublinie mogę podać kilka przykładów takiego handlu wbrew wspomnianej uchwale. Kto wydał zezwolenie?

Takie sprawy są przykładem szkodliwej tolerancji dla obyczaju pijackiego, płynącej bynajmniej nie z dołu. Zjawisko owej tolerancji społecznej stawało się wielokrotnie przedmiotem refleksji socjologów i dziennikarzy, a życie ciągle dostarcza przykładów najświeższych. Jeśli pewien kierownik z FSC zasłaniał się poleceniem działu kadr, karząc swego pracownika za picie alkoholu w pracy, o czym to świadczy? Bywa, że kierownik pije z podwładnym w pracy, choć to już raczej przypadki sporadyczne.

Dyrektor fabryki wydał zarządzenie (12 VI br.), gdzie m.in. czytam: „Zobowiązuję wszystkich kierowników wydziałów do kierowania na leczenie odwykowe w przyzakładowej przychodni zdrowia wszystkich tych pracowników, co do których istnieje podejrzenie, że są nałogowymi alkoholikami".

Zarządzenie to, będące zresztą interpretacją pisma Ministerstwa Pracy, Płac i Spraw Socjalnych, wydaje mi się aktem rozpaczy. Przede wszystkim jakby omija problem, który nie w nałogowym alkoholizmie głównie, lecz w tolerowanym obyczaju pijaństwa i ludziach mu się oddających. Rozumiem, że idzie tu o kierowanie na leczenie przymusowe. Problem w tym, iż zakład pracy nie ma prawa kierować na takie leczenie nikogo donikąd, nawet do

Motor przegrał - siup!

przychodni zakładowej. Od tego jest komisja sędziowie lekarze i na koniec orzeczenie sądowe w formie postanowienia o skierowaniu na odwykowe leczenie. Zakład pracy może w tej sprawie najwyżej wnioskować do komitetu przeciwalkoholowego przy ZOZ. Po wtóre — co znaczy „istnieje podejrzenie, że są nałogowymi alkoholikami"?

Na czym się takie podejrzenia opierać mogą i jak je udowodnić? Łatwo przecie wkroczyć w sferę pomówień, rozgrywek personalnych etc., aczkolwiek rozumiem pozytywne intencje przyświecające temu zarządzeniu. Trzeba jednak dbać przynajmniej o sformułowania, żeby nie budziły niepokoju.

Bardziej już trafia do przekonania inny fragment owego zarządzenia, dotyczy nie alkoholików, lecz pijaków, ale tu o praworządności trzeba myśleć: „Ustalenie stanu nietrzeźwości pracownika może być przeprowadzone nie tylko za pomocą probierza trzeźwości lub badania krwi. Pracownik odmawiający poddania się takim badaniom lub zachowujący się w sposób uniemożliwiający ich przeprowadzenie musi się liczyć z tym, że będzie to w sposób właściwy ocenione. W świetle aktualnego orzecznictwa sądowego stan nietrzeźwości pracownika w czasie pracy może być dowodzony wszelkimi środkami dowodowymi, jak na przykład zeznania świadków".

Przeglądam akta w Okręgowym Sądzie Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Lublinie. Istotnie, dopuszcza się i uwzględnia tego rodzaju dowody, choć dla sądu najbardziej liczy się dokument, badanie krwi. W każdym razie, gdy sprawa pracownika-pijaka trafia przed sąd pracy, jest to na ogół znak, że zakład wyczerpał już inne środki wychowawcze i karne, zwolnił pracownika, a ten walczy o przywrócenie do pracy.

Cytuję uzasadnienie jednego z wyroków odwołujące się do odpowiedniego artykułu Kodeksu Pracy: „Każde stawienie się pracownika do pracy w stanie nietrzeźwości lub spożywanie alkoholu w czasie pracy jest ciężkim naruszeniem obowiązków pracowniczych, dającym podstawę zakładowi pracy do rozwiązania z takim pracownikiem umowy o pracę ze skutkiem natychmiastowym z winy pracownika, niezależnie od tego na jakim stanowisku taki pracownik pracuje i czy jego nietrzeźwość wywołała dla zakładu pracy ujemne następstwa".

Na ogół jednak zakłady zaczynają od kar łagodniejszych. Fluktuacja i bez zwolnień ze st[illegible]natychmiastowym bywa spora, o plany p[illegible]ie cisną. Nie widać też przyczyny, aby kary m[illegible]yć jedynym środkiem wychowującym i aby pracowników należało wyłącznie traktować jak niegrzeczne dzieci.

Rozmawiałem z jednym z takich ukaranych. „Napiłem się w pracy, fakt. Nie powinienem tego robić i kara się należała. Dlaczego ja piję? Powiedzmy, że w pracy już pić nie będę, wystarczy. Ale w domu? Coraz więcej zarabiam, to prawda — powiedział.

Pijaństwo z zakładów produkcyjnych trzeba wykorzenić wszystkimi dostępnymi środkami, ale nigdy się tego nie da zrobić skutecznie, jeśli się nie weźmiemy za opilstwo jako problem szerszy, obyczajowy, którego pijaństwo w pracy jest konsekwencją.

Istnieje pogląd, że społeczeństwa piją z nędzy bądź z bogactwa. Nie żyjemy w nędzy ani w przesycie bogactwa. Żyjemy na dorobku. Dlaczego więc pijemy?

Czy wszyscy rozumieją, że na ten dorobek nie mogą się składać coraz większe zarobki indywidualne nie znajdujące pokrycia w coraz większym wzroście wydajności i jakości pracy? Że coraz większe zarobki muszą wynikać ze wzrostu wydajności i jakości pracy? Że tylko w ten sposób coraz większe zarobki znajdą zaspokojenie w coraz atrakcyjniejszej i większej masie towarowej, niwelując napięcia. Że tylko przed takim społeczeństwem można stawiać dostępne modele osobistego szczęścia, wzrastającej zamożności i życiowej pomyślności, która głównie przecie zawiera się w dobrach trwalszych niż alkohol?

Przyznam, że ciężko idzie wdrożenie w ludzkie myślenie tych zależności. Podejrzewam, iż wiemy, co robić, ale jeszcze nie wiemy jak, żeby zmienić ludzkie myślenie.

Wojciech Kurhan

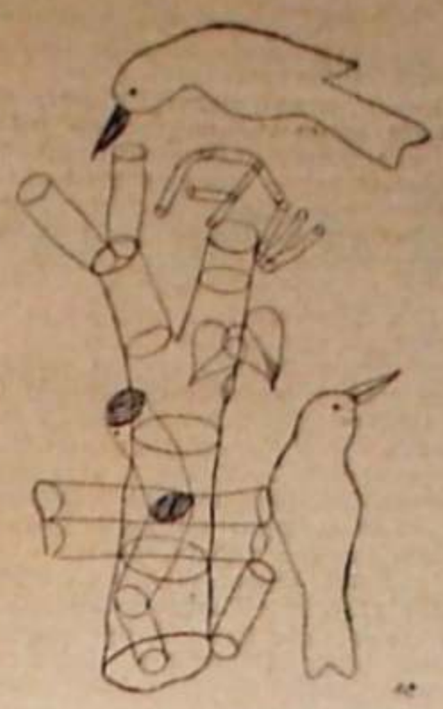

Rys. E. Inglot

Stanisław Ogiński

KRAJOBRAZ PO BITWIE

Żonie
Aby Jej serce było
jak „Marzenie" Szumana

Tak chciałbym, aby moja miłość a Twoje przywiązanie
Choć może z miłością związane, było pożegnaniem z bronią
Wydrzyj ze mnie tę pamięć, która coraz bardziej pozwala mi umrzeć

Czy znajdziemy trochę „zapachu groszków" i wiatru z pola po orce?

Czy powiesz mi po dziesięciu latach co myślisz, lub będziesz myślała?

W STRONĘ SOCJOLOGII HUMANISTYCZNEJ

Włodzimierz Piątkowski

NIEDAWNO zakończony Światowy Kongres Socjologiczny był ważnym wydarzeniem na drodze rozwoju nauk społecznych. Raz na cztery lata socjologowie z kilkudziesięciu państw spotykają się, by przedstawić wyniki najnowszych badań i omówić zjawiska zachodzące we współczesnych społeczeństwach. W założeniu Kongres jest otwartym forum dyskusji uczonych reprezentujących różne orientacje teoretyczne i specjalizacje w socjologii. W tym roku intencją organizatorów było przełamanie tradycji wąskiego, „branżowego" sposobu widzenia zjawisk społecznych, jakie charakteryzują każdą z wielu subdyscyplin socjologii. Wydaje się, że te zabiegi o charakterze integracyjnym przyniosły pozytywne rezultaty. Innym elementem charakterystycznym było poświęcenie większej uwagi społecznym problemom krajów Trzeciego Świata, jak również zagadnieniom ruchu kobiecego oraz mniejszości narodowych i etnicznych. Tegoroczny Kongres stał także pod znakiem widocznej aktywności uczonych z krajów socjalistycznych.

Gospodarzem Światowego Kongresu Socjologicznego został Uniwersytet w Uppsali, obchodzący właśnie jubileusz 500-lecia istnienia. Uczelnia udostępniła przybyłym z całego świata socjologom dobrze wyposażone pomieszczenia; etatowi pracownicy Uniwersytetu zapewnili sprawną obsługę Kongresu a studenci, poświęcając część swoich wakacji, pracowali w centrach informacyjnych i usługowych.

Delegacja polska nie ustępowała pod względem aktywności naukowej takim potęgom socjologicznym, jak Stany Zjednoczone czy Wielka Brytania. Polscy socjologowie brali udział w obradach sesji plenarnych, grup roboczych, grup ad hoc, pracowali aktywnie w wielu komitetach badawczych. Dowodem szczególnego zaufania do poziomu naukowego i kompetencji badacza jest powierzenie funkcji organizatora lub przewodniczącego poszczególnych sesji. Polacy pełnili je wielokrotnie. Tak na przykład profesor Jerzy Wiatr przewodniczył sesji plenarnej, profesor Władysław Markiewicz był przewodniczącym sesji poświęconej instytucjom i procesom politycznym współczesnego świata, profesor Magdalena Sokołowska kierowała pracą sesji na temat ekonomicznych aspektów ruchu kobiecego. Przewodniczyli grupom badawczym również prof. prof. S. Nowak, A. Podgórecki, A. Kłoskowska, M. Łahoski i K. Doktór.

Polacy brali też czynny udział w dyskusjach na sesjach plenarnych i w pracach poszczególnych komitetów badawczych. Wygłoszono kilkadziesiąt referatów, z których wiele stało się wydarzeniami w życiu naukowym Kongresu.

Jednym z aktywnych komitetów badawczych był zespół do spraw socjologii medycyny. Zakres problemów poruszanych przez zespół był rozległy; główny nurt dyskusji skupił się wokół takich tematów, jak: zagadnienia socjologii zawodów medycznych, problemy tradycyjnych i nowoczesnych metod leczenia wybranych chorób w krajach o różnych tradycjach kulturowych i cywilizacyjnych. Omawiano też szeroko pojętą problematykę rehabilitacyjną. W pracach komitetu licznie uczestniczyli przedstawiciele krajów rozwijających się. Wielu z nich stwierdziło, że tradycyjne formy opieki zdrowotnej oferowane przez wyspecjalizowane agendy Światowej Organizacji Zdrowia nie zdają egzaminu w warunkach afrykańskich czy azjatyckich. Okazało się, że typ opieki lekarskiej lub pielęgniarskiej oparty na doświadczeniach europejskich nie uwzględnia dostatecznie innego kontekstu społeczno-kulturowego, a co za tym idzie, odmiennych potrzeb pacjentów i nie jest dostatecznie efektywny np. na Filipinach, w Malezji czy Ghanie. Zwracano uwagę, że era mechanicznego kopiowania euroamerykańskiego modelu medycyny należy w wielu krajach rozwijających się do przeszłości. Podkreślano też, że przy aktywnym udziale socjologów medycyny można by stworzyć takie modele opieki zdrowotnej, które w dostatecznym stopniu uwzględniałyby specyficzne potrzeby społeczeństw tych krajów. Od znalezienia swoistego modus vivendi między koniecznością użycia nowoczesnej techniki medycznej, a zaspokojeniem oczekiwań pacjentów o innej niż europejska orientacji kulturowej, zależy w dużej mierze sukces w rozwiązywaniu wielu problemów z zakresu organizacji opieki zdrowotnej.

Nad innymi doniosłymi zagadnieniami pracowała podkomisja do spraw opieki rehabilitacyjnej. Liczni dyskutanci zwracali uwagę na konieczność opracowania modelu pełnej, kompleksowej rehabilitacji społecznej, która miałaby następować bezpośrednio po zakończeniu etapu usprawniania medycznego. Obecnie różnorodność form opieki rehabilitacyjnej jest uderzająca. Kraje Trzeciego Świata, borykające się z chronicznymi problemami ekonomicznymi, z reguły nie poświęcają inwalidom większej uwagi, pozostawiając ich własnemu losowi. W krajach średnio rozwiniętych częstym sposobem rozwiązywania problemów osób z trwałym kalectwem, uniemożliwiającym normalne funkcjonowanie w społeczeństwie, jest tworzenie mniej lub bardziej zamkniętych ośrodków, gdzie ludziom o podobnym rodzaju schorzenia organizuje się pracę produkcyjną. Trzecim wreszcie, coraz bardziej upowszechniającym się na świecie, modelem rehabilitacji jest tworzenie wyodrębnionych, chronionych miejsc pracy, wyposażonych w urządzenia w dużej mierze kompensujące skutki inwalidztwa. Wariant ten zapewnia inwalidzie względnie normalne funkcjonowanie w naturalnym środowisku społecznym; pozwala poszkodowanemu stopniowo odzyskać wiarę we własne siły, wzmacnia zachowanie prospołeczne.

Ogólnie rzecz biorąc, we wszystkich społeczeństwach wysoko rozwiniętych wymagania w stosunku do szeroko pojętej opieki o charakterze socjo-medycznym rosną. Jest to związane, jak wskazywano, między innymi z szybkim wzrostem dobrobytu społecznego, wyższym poziomem przeciętnego wykształcenia, widocznym upowszechnieniem się nowych stylów życia, traktowaniem sprawności własnego organizmu jako dobra najwyższego. Konsekwencją tych zmian, potwierdzonych prezentowanymi na Kongresie badaniami, są wspomniane, coraz większe wymogi wobec rehabilitacji. Medycyna musi uwzględniać zmiany społeczne o charakterze jakościowym — powinny one pociągać za sobą stałą ewolucję systemu medycznego. Typ świadczeń rehabilitacyjnych proponowany obecnie przez socjologów medycyny, jest więc próbą wyjścia na przeciw nowym potrzebom społecznym.

Zakończenie 9 Światowego Kongresu Socjologicznego było szczególnie satysfakcjonujące dla członków delegacji polskiej. Oto w sobotę, 19 sierpnia, biuro organizacyjne oficjalnie zakomunikowało, że polscy uczeni weszli w skład najwyższych władz Światowego Stowarzyszenia Socjologicznego (I.S.A.). Profesor Magdalena Sokołowska wybrana została wiceprezydentem Światowego Stowarzyszenia Socjologicznego, zaś profesora Stefana Nowaka powołano do prezydium Organizacji.

Wydaje się, że Kongres dobrze przysłużył się zbliżeniu socjologów z całego świata; nawiązane zostały kontakty, które z pewnością stworzą korzystny klimat dla szeroko pojętej wymiany naukowej. Należy mieć nadzieję, że cztery lata, jakie dzielą nas od kolejnego Kongresu, przyniosą dalsze pogłębienie związków między badaczami życia społecznego wielu krajów; proces ten dobrze służy polityce odprężenia.

Kamena str. 5

Tomasz Szczymowski

LIRYKI NAIWNE

*
* *

Powiedz
dlaczego nie mogę patrzeć w Twoje oczy
odpowiadasz
bo moja prywatna ustawa
zabrania pozwolić
abyś skleił je swoimi
ustami.

*
* *

Uważam się oczywiście za większość

ale tych, którzy
na morzu

tych, którzy zostali po tamtej stronie
nizin.

*
* *

Dwadzieścia cztery godziny
pozostaje mu

najwyżej

tak mówią lekarze
powoli zaczynam rozumieć

co mają na myśli

co zrobić

uciec czy

zostać

a może poprosić tych w białych kitlach
takich samych jak w sklepie albo rzeźni
zostawcie mu trochę więcej czasu
na
dokonanie.

*
* *

Błądzi Twoimi oczyma
po swojej twarzy
która
pachnie w mroku ciepłem
nadjeziornego wieczoru, jego
wiekową tęsknotą do
miłości
Czeka aż wgryziesz się jej
ustami
w swoje wargi
lekkie pocałunki przywracają Ci tęsknotę
do zielonego swetra
na którym
wziął cię
czując lekki powiew wiatru
na obnażonych plecach
po których błądziły lekko
Twoje palce.

Rys. E. Inglot

W 150 ROCZNICĘ URODZIN

Mikołaj Czernyszewski i Polacy

Jan Trochimiak

JAKO syn wyjątkowo wykształconego duchownego prawosławnego, Mikołaj Czernyszewski (1828—1889) przygotowywany był pod kierunkiem swego ojca do kariery duchownej. W młodości olśniewał wszystkich niecodzienną erudycją i znakomitą znajomością języków. Nazywano go „bibliofagiem" — pożeraczem książek. Pragnienia ojca całkowicie jednak rozminęły się z decyzją syna, który zrezygnował w 1845 r. z kariery duchownej, bez reszty oddając się pracy naukowej. Takie były narodziny swoistego fenomena — przywódcy rewolucyjnych demokratów, utopijnego socjalisty, krytyka, pisarza, ekonomisty, socjologa i historyka w jednej osobie, który wywarł potężny wpływ na całe pokolenia młodzieży rosyjskiej i nie tylko. Namiętnie pochłaniający myśl Hercena i Bielińskiego, idee francuskich socjalistów-utopistów, podtrzymujący bezpośrednie kontakty z przyszłym wybitnym poetą i rewolucjonistą Michałem Michajłowem, a pośrednie ze znanym kółkiem „pietraszewców", Czernyszewski nie zapomniał też o ojczystej literaturze pięknej, której dwóch przedstawicieli, a mianowicie Gogola i Lermontowa, nazywał „zbawcami". W dziedzinie filozofii był dla niego najwyższym autorytetem Feuerbach. Już samą dysertacją magisterską (nie mylić z dzisiejszym polskim magisterium) pt. „Stosunek estetyczny sztuki do rzeczywistości" i ostrą jej obroną zaszokował i wyprowadził z równowagi — jak zaświadcza działacz rewolucyjny Mikołaj Szełgunow — grono profesorskie uniwersytetu petersburskiego, a przedstawicieli przysłuchującej się młodzieży, zwłaszcza Polaka Zygmunta Sierakowskiego, wprawił w hałaśliwy zachwyt.

Nic też dziwnego, że z formalnym zatwierdzeniem tego tytułu, upoważniającego do objęcia katedry uniwersyteckiej, ociągano się aż od 1855 do 1858 r., tj. do czasu, gdy autor rozprawy już dawno zrezygnował z kariery naukowej. Wówczas Czernyszewski z pasją walczył z estetyzującą grupą krytyków-liberałów o demokratyczny, ideowo-zaangażowany, realistyczny i krytyczny profil założonego jeszcze przez Puszkina czasopisma „Sowriemiennik", które stało się ponownie organem o poglądach bardzo postępowych. Liberalni krytycy i ciążący ku nim pisarze, w tym Iwan Turgieniew i Lew Tołstoj nie szczędzili w prywatnej korespondencji i rozmowach Czernyszewskiemu i jego najbliższemu współpracownikowi Mikołajowi Dobrolubowowi różnych zjadliwych epitetów. Czernyszewskiego nazywano „seminarzystą cuchnącym pluskwami", a nie przebierający w słowach Turgieniew wyrzekł kiedyś w rozmowie z nim następujące zdanie: „Pan jest zwyczajną żmiją, a Dobrolubow okularnikiem".

Na szczęście innego mniemania o nich był redaktor „Sowriemiennika", wybitny poeta rosyjski Mikołaj Niekrasow, który wobec ultimatum Turgieniewa wybrał Dobrolubowa i linię rewolucyjnych demokratów, zdając sobie sprawę, że „utraci" poza autorem „Rudina" jeszcze Lwa Tołstoja, Iwana Gonczarowa i Dmitrija Grigorowicza. Zapoczątkowany przez Czernyszewskiego znakomitym artykułem „Rosjanin na rendez-vous" (analiza opowiadania Turgieniewa „Asia") frontalny szturm na epigonów „zbędnych ludzi" był kontynuowany z jeszcze większą gwałtownością przez Dobrolubowa. Ów typ bohatera szlacheckiego musiał ustąpić miejsca „nowemu człowiekowi", demokracie-ratnoczyńcy, realiście w duchu feuerbachowskim, umiejącemu swe poglądy wcielać w życie.

Bohaterów takich ukazał Czernyszewski w swej słynnej powieści „Co robić?", która stała się niemalże brewiarzem rosyjskich rewolucjonistów. Powstała ona w ciągu czterech miesięcy, w celi najokrutniejszego chyba więzienia w Rosji carskiej: Aleksiejewskiego rawelinu twierdzy św. Piotra i Pawła, dokąd zesłano Czernyszewskiego pod pretekstem kontaktów z emigracją polityczną, kierowaną przez „wielkiego londyńczyka" — Hercena. Przez niedopatrzenie cenzora puszczony do druku utwór rewolucjonizował dosłownie prawie wszystko wśród całych pokoleń młodzieży: moralność, światopogląd, stosunek do autorytetów, do idei pokory. Budował on na nowych prostych zasadach stosunki międzyludzkie, inaczej stawiał problem kobiety, miłości, małżeństwa itp. Jeden z jego bohaterów, rewolucjonista Rachmietow, nie jest bynajmniej, jak się sądzi, postacią wyidealizowaną, bowiem, jak stwierdza cytowany Plechanow: „Każdy z wybitnych rewolucjonistów rosyjskich miał w sobie bardzo wiele cech Rachmietowa".

Dla nas postać Mikołaja Czernyszewskiego jest tym bardziej bliska, że był on nie tylko szczerym i oddanym przyjacielem wielu Polaków, ale i gorącym obrońcą najżywotniejszych dla Polski spraw. Godne szczególnego odnotowania jest to, iż „Sowriemiennik" w latach 1861—62, a więc w okresie znanych patriotycznych manifestacji warszawskich, najwięcej miejsca poświęcał sprawie polskiej. Miało to w warunkach świadomie podsycanego szowinizmu wielkoruskiego kolosalną wymowę polityczną. Ostrze swego artykułu „Narodowy brak taktu" Czernyszewski skierował przeciwko antypolskiej kampanii prowadzonej przez wydawane we Lwowie w języku ukraińskim nacjonalistyczne czasopismo „Słowo". Również przeciwko nacjonalizmowi, tym razem już nie ukraińskiemu, lecz wielkorosyjskiemu, wystąpił Czernyszewski w artykule „Narodowy brak rozumu", poświęcony antypolskim napadom słowianofilskiej gazety „Dień", potępiającej wspomniane patriotyczne manifestacje w Warszawie. Rewolucyjny demokrata rosyjski, S. Stachiewicz, zauważa, że gdy wśród inteligencji petersburskiej w 1861 r. powstał projekt zbierania podpisów pod memoriałem wyrażającym sympatię dla Polski, Czernyszewski wypowiedział się o nim bardzo pozytywnie. Autor „Co robić?" nie miał najmniejszych złudzeń na temat skuteczności tej petycji u władz carskich. „Nasi władcy — skonstatował Czernyszewski w rozmowie ze Stachiewiczem — wyobraziliby sobie, że mają przed sobą obszerny, szeroko rozgałęziony spisek, rozmieściliby w Petersburgu i jego okolicach jeszcze jakieś sto tysięcy żołnierzy, a to znaczy, że do Polski skierowaliby o sto tysięcy mniej, co jest coś warte. — Umilkł na chwilę, a potem dodał: — Oczywiście w Petersburgu nie obeszłoby się bez kilku szubienic..."

O życzliwym stosunku do Polski i przyjaznych kontaktach Czernyszewskiego z Polakami mówią również inni rewolucyjni demokraci rosyjscy, tacy jak np. W. N. Szaganow i P. F. Nikołajew. Będąc na wolności, Czernyszewski stykał się ze stosunkowo nieliczną grupą Polaków. Dokumenty potwierdzają jego kordialne związki z Zygmuntem Sierakowskim, późniejszym dowódcą powstania styczniowego na Litwie, któremu użyczał tamów „Sowriemiennika". Nie wyklucza się, że Czernyszewski mógł się znać też osobiście z członkami koła młodzieży oficerskiej i studenckiej, założonego przez Sierakowskiego. Jak wiadomo, kołem tym kierował Jarosław Dąbrowski, a należeli do niego m. in.: W. Wróblewski, Z. Padlewski, K. Kalinowski, L. Zwierzdowski-Topór i H. Heidenreich-Kruk. Wiele jest na to dowodów, że Czernyszewski wywierał poważny wpływ na Sierakowskiego, a pośrednio na koło oficerów i studentów, w którym ten był postacią pierwszoplanową. Wiarygodność tego ustalenia wzmacnia napisana przez Czernyszewskiego, już na zesłaniu, powieść autobiograficzna „Prolog", w której pod postacią Wołgina występuje autor, a Sokołowskiego — Sierakowski. Przedstawiony jest on jako nieugięty bojownik o zniesienie makabrycznej, nieludzkiej kary chłosty w wojsku carskim, orędownik uwłaszczenia chłopów i przyjaciel narodu rosyjskiego. W rozmowie z innym bohaterem powieści, Niwielzinem, Sokołowski — Sierakowski wyznaje: „Jestem Polakiem. Ale istotnie, dobrze mówię po rosyjsku. Miałem czas się nauczyć, miałem też czas poznać naród rosyjski i pokochać go. To dobry naród o złotym sercu, sprawiedliwy... żyłem się z moimi towarzyszami broni, pokochałem ich...".

Jedności w poglądach Czernyszewskiego i Sierakowskiego jednak nie było. Liberalnym poglądom Sierakowskiego na uwłaszczenie chłopów przeciwstawiał Czernyszewski walkę rewolucyjną o ziemię i wolność.

Wzruszającą i oddzielną kartę historii stanowi pobyt Czernyszewskiego wraz z zesłańcami polskimi na Syberii, którzy jak tylko mogli starali się ulżyć jego niedoli. Nie jest rzeczą przypadku, że m. in. właśnie wśród Polaków powstał projekt uprowadzenia Czernyszewskiego z katorgi. Oddziaływanie tego wielkiego Rosjanina oddają wspomnienia takich Polaków, jak np. Z. Herynga, L. Krzywickiego, B. Białobłockiego, S. Brzozowskiego, M. Dąbrowskiego, i S. Stempkowskiego, którzy dopatrywali się nawet wpływu „Co robić?" Czernyszewskiego na rozpowszechnione wśród polskich rewolucjonistów „białe małżeństwa".

Dopiero w Polsce Ludowej udostępniono po raz pierwszy czytelnikowi polskiemu w przekładzie prace filozoficzne, ekonomiczne, krytycznoliterackie, a także obie powieści „Co robić?" i „Prolog" Czernyszewskiego. I my dziś, w 150 rocznicę urodzin Czernyszewskiego, pomni jego niecodziennego życia, odwagi, myśli i działania, propolskich sympatii oraz konsekwentnego pozostawania na Syberii w imię zachowania rewolucyjnych ideałów, wyrażamy swój głęboki dlań szacunek i uznanie. Mikołaj Czernyszewski stał się dla nas żywym symbolem przyjaźni między narodem polskim i rosyjskim.

Pierwszy wieżowiec

Bronisław Kowalski

NA imieniny Solenizantka upiekła wspaniały tort. Postawiła go na paterze na małym stoliku w pokoju. Odświętnie. Na półeczkach, przy drugiej ścianie stoi dla ozdoby bułgarski serwis z kamionki, a na parapecie okna ładne kwiaty w doniczkach. Doniczki są ciężkie, więc przytrzymują okno, bo się nie domyka.

Z tego tortu najpierw wykroiła porcję dla siebie i dla dwóch młodszych córek. W ogromnym cieście powstał zaledwie nieznaczny ubytek. Gdy przyjdzie kto z gości, nawet nie zauważy, że tort napoczęty. W pracy czekają chyba aż ona wróci ze zwolnienia i nie wiedzą, czy przychodzić w odwiedziny, czy czekać. I dlatego goście nie nadchodzą.

No, ale jest jeszcze wcześnie, dopiero piąta po południu. I nawet Renata nie wróciła z akrobatyki. To ona przywiozła serwis z Bułgarii, gdy była z drużyną na zawodach. Chciała jeszcze kupić mamie bluzkę, ale przejeżdżali przez Rumunię w niedzielę i sklepy były zamknięte. Za to przywiozła koniak na oblewanie nowego mieszkania. Renata ma zwolnienie lekarskie, ale i tak pobiegła na trening. Dwie młodsze córki też chorowały, mama — solenizantka brała zwolnienia, najpierw co na dzieci, to na dzieci, aż przyszło że i na siebie wzięła.

Ona ma trzy dorodne córki. Gdzieżby je mogła zmarnować? Złe myśli przeszły jej gdy uprzytomniła sobie, że dzieci trzeba by oddać. A już chciała sobie coś zrobić. Do tego stopnia byłam kiedyś nastawiona — nachodzą ją wspomnienia.

Może Kierownik sobie pomyślał: „bidna baba" czy jak? A może idzie o to, że ma więcej łaski, szczęścia, czy rozumu? W każdym razie pewnego dnia Kierownik powiedział, że z mieszkania nic nie będzie. To ona, że teraz zacznie walczyć. A Kierownik: no, niech pani próbuje, jak pani taka silna. Silna nie silna, ale mieszkanie dostała. Później kwiaty mu przyniosła, bo może go obraziła, choć przecież bezpośrednio to mu nic nie powiedziała.

Te ściany, jak się trochę dotarło kamieniem, wyrównały się. A poza tym mury wyciągają kolor i farba blednie. Nie stać jej było na malarza i nie brała. Malowała sama. Brat jej pomagał.

Mąż żeby był dobry człowiek, to przecież by się z nim nie rozwiodła, prawda? Mieszkali jakiś czas wspólnie choć już po rozwodzie. Dla dzieci nie była dobra sytuacja i w ogóle. Któregoś dnia powiedział, że jak mu da pięć tysięcy, on się wyprowadzi. Wtedy ona migiem, w te pędy pobegła po pożyczkę i szybciutko mu dała pięć tysięcy. I wyprowadził się. Ale i bez niego trudno tam było mieszkać — poddasze, bez łazienki, ubikacja w podwórzu. Dzieci, mama staruszka. Teraz dla mamy to największa wygoda.

Na te imieniny już się wszystko ułożyło. Gorzej mieli, a chwaliła sobie. To teraz by miała ganić? Aby tylko grzali, to już ona będzie chwaliła. Bo sprawa numer jeden to grzanie.

W piekarniku tort piekła. Podgrzała do stu osiemdziesięciu stopni i potem zmniejszyła gaz. Za pierwszym razem nie zrobiła tego, ciasto się spaliło na węgiel. Teraz już umie. Nawet i Renata ją potrafi wyręczyć. Z niej ona ma wielką zastępczynię, choć ma dopiero czternaście lat, dziecko.

Przedwczoraj sprzątały mieszkanie. Odsunęły wersalkę, a tam ściana mało, że siwa — pleśń. Normalnie, gdy zimno i budynek niecałkiem wyschnięty. Ci ze spółdzielni powiedzieli na zebraniu, że było ciepło na dworze, więc można było wyjść i się podgrzać. Wszyscy lokatorzy nawet, mówią, że u nich pleśń, na każdym piętrze...

Zebranie odbyło się przed kilkoma dniami. Dzięki temu osiemdziesiąt procent mieszkańców mogło się poznać. Wszyscy zeszli się na ostatnie piętro, na korytarz obok suszarni. Wtedy właśnie wybrano komitet domowy, a przedstawiciele spółdzielni wręczyli wybranym klucze od suszarni i pralni. Ale lokatorzy podpowiadali, żeby nie brać kluczy, bo suszarnie miały być cztery, a są dwie.

To było pierwsze zebranie lokatorów w pierwszym dziesięciopiętrowym budynku, czyli wieżowcu, jaki oddano do użytku w mieście Zamościu.

Ostry przebieg miało owo zebranie. Jeden z lokatorów, Prawnik, wystąpił z zarzutem opartym o przepisy, że gdy spółdzielnia nie dotrzymuje umowy i blok jest nieogrzewany, to mieszkańcy mają prawo do bonifikaty. Ze spółdzielni odpowiedziano mu, że może sobie kupić mieszkanie własnościowe, kiedy mu się chce bonifikat. Postulat nie znalazł uznania u lokatorów.

Osoba Oficjalna w rozmowie ze mną wyraża zdanie, że kłopoty same występują i trudno tu jakoś rozróżniać. Jeśli ktoś kupił buty, a nigdy w nich nie chodził, to jasne, że sobie narobi nagniotków.

Sytuację powstawania nagniotków można przyjąć za obiektywną, bo w Zamościu nikt dotąd nie mieszkał w wieżowcu. Osoba Oficjalna przyczyny trudności obiektywnych widzi gdzie indziej.

Człowiek u siebie w mieszkaniu dotyka kaloryferów i czuje: ciepłe, zimne. Nie wie jednak, że — tu reporter otrzymał kompendium wiedzy ciepłowniczej — potrzebne są wymienniki „dwustupięćdziesiątki", a tych szukać choćby na lekarstwo, że w osiedlu wysiadły trzy fabrycznie nowe pompy, że w wymiennikach są przebicia na różnych parametrach, a parametry aż trzy charakteryzują ciepło, że oni, jako spółdzielnia kupują ciepło, że generalnie go brakuje i że w innych gabinetach zamojskich usłyszę, że nie, że są jego rezerwy, ale żebym nie wierzył, bo jednak brakuje, gdyż nie ma w Zamościu ciepłowni z prawdziwego zdarzenia, i żebym o tym nie pisał, bo taka jest polityka i tylko mi nie powiedziano, że podniesie się temperatura kaloryferów w wieżowcu po mojej wizycie u Oficjalnej Osoby i że się przekonam po południu, że już jest ciepło w mieszkaniach, choć rano jeszcze nie było. Albo wymieniono cewkę, albo usunięto grzanie silnika, albo naprawiono sprzęgło — takie bowiem usterki znaleziono w trzech pompach.

Ongiś Osoba Oficjalna o mały włos nie założyła się z Osobą Jeszcze Bardziej Oficjalną, stawiając całe swoje pobory, o to, że lokatorzy pierwszego wieżowca nie będą mieć ciepła. I mimo trudności, jak to w pierwszych początkach, przegrałaby pobory. Bo kaloryfery zaczęły grzać. Trzy dni później niż obiecano, ale jednak...

Foto-collage M. Stankiewicz

Ciepło jest sprawą pierwszą, drugą jest pierwsza winda w Zamościu.

Solenizantka doczekała się wreszcie gościa. Z tortu ubył następny kawałek. Koleżanka nie posiedziała zbyt długo, a wychodząc powiedziała: windą nie pojadę, bo wisieć nie chcę.

Problem windy bliski jest problemowi ciepła. Do dźwigu bowiem potrzeba konserwatora. A takiego w Zamościu nie ma, więc sprowadzono go z Lublina. Chwała za to lubelskiej spółdzielni, choć tam się smucą, bo stracili fachowca z dużymi uprawnieniami, które zdobyć trudno — mówi Osoba Oficjalna i boi się, że jak konserwator poczuje zimno w mieszkaniu, to ucieknie. Ma mieszkać w wieżowcu sąsiednim, jeszcze nie gotowym, ale na pewno nie będzie mu zimno.

Z windą jest kłopot — i tego osoba Oficjalna nie rozumie, że jak się zatnie, to ludzie chcą natychmiast wydostać się. A w innych miastach konserwator przychodzi po godzinie i każdy szczęśliwy, że tak szybko. A tu o mało nie doszło do rękoczynów!

Do windy trzeba się przyzwyczajać. Nie wiedzą ludzie, ile osób może wsiąść. Z siekierą się biorą do otwierania drzwi. Naciskają wszystkie guziki, jak w harmonii, rozsładają zapałki, druciki i winda staje.

A największy kłopot z dziećmi, bo całe ich gromady przychodzą i wożą się tą pierwszą windą w Zamościu. Lecz już ich mniej, bo się je przegania.

Przegania je głównie Mężczyzna ze Szczotką. Zamiatał z rana wejście do wieżowca. Dużo błota się tu nanosi. Błoto da się usunąć, ale z wybitą szybą w drzwiach większy kłopot.

Mężczyzna ze Szczotką z windy nie korzysta, bo mieszka najniżej. Ten kłopot ma z głowy, że stanie między piętrami i o tak, tylko nogi będzie mu widać. Za to u niego tak samo pleśń, kaloryfery zimne i wilgoć. Słomiana mata w pokoju aż niebieska od siwych punkcików pleśniowych. A meble od spodu też siwieją. Z windą miał tylko raz przygodę, gdy z zebrania zjeżdżali kilka dni temu. „Tylko cztery osoby wsiadło, trzy piętra na dół pojechali i już my zablokowane jesteśmy".

Wody nie dają od wczoraj na górze — mówi Mężczyzna ze Szczotką — noszę ze studni. Na parterze jest. A z siódmego piętra nawet Prawnik, mądry gość, przepisy zna jak cholera, na zebraniu nie dał im dojść do głosu, też wodę nosi.

Pod blokiem, gdzie się wodę pompuje, jest od kilku dni mniej błota bo wyasfaltowane. „Zebranie jak my zrobili, to ten kawałek nalali". Tylko „kawałek", bo resztę chodnika obok bloku to błotnisko. Niby przywieziono asfaltu ile trzeba, ale wieść oficjalna powiada, że zabrano go na wyrównanie całkiem innego placu. Pod nowym sąsiednim wieżowcem chodnik dobrze przygotowany. Ma to być zasługa tamtego kierownika budowy. Przy pierwszym wieżowcu za to jakoś się nie postarano. Brzydko wygląda.

Ładny widok na osiedle jest z Karolówki. Nabrało wyglądu — nie ukrywa satysfakcji Oficjalna Osoba. Postawiono dziesięć pięter przede wszystkim ze względów architektonicznych. To nieprawda, że powiat chciał sobie pomnik postawić. Tu projektowano wysoką zabudowę jeszcze przed wojną. Dobre miejsce, bo kamień w ziemi, twardy grunt, bardzo dobre podłoże. Poza tym wieżowce to również podkreślenie symboliki osiedla. Nie mówiąc o rozwiązywaniu kwestii mieszkaniowej.

Tylko że powinno być poszanowanie. Niektórzy społecznie podeszli bardzo, a są tacy, że na siłę trzeba i nic nie pomoże — wzdycha Oficjalna Osoba. Jest duża dewastacja. Już nie mówiąc, że całe miasto jeździ windami, ale zerwano lampy w piwnicach, potłuczono wyłączniki, oprawy do jarzeniówek. Kierownik budowy narzekał — Panie, jak mnie ukradli w czasie budowy, strata moja. Ale teraz, jak wszystko poinstalowane? Czyja ma być strata?

A czyja ma być strata, gdy woda kapie z kaloryferów? Oficjalnie nie kapie: „Nieszczelność żeby była to jest niemożliwa rzecz. Jak ktoś zaworem ruszy, to kapie. Może być tak, że się pojawi kropelka, ale to raz na dwie minuty".

Lokator o nazwisku słynnego malarza późno się sprowadził do wieżowca. Większość mieszka od sierpnia, a on od końca września dopiero. Czekał aż wszystko będzie przygotowane — woda, gaz, ciepło. Stanowczy jest we własnym zdaniu, ale za porywczy i dlatego może nie wybrano go do komitetu domowego. „Wie pan — mówi zamyślony — może i lepiej było na starym miejscu, tyle lat się tam przeżyło. Dzieci już do wieżowca przywykły, nowocześniejsze. A jednak jakoś gorzej. Ogródek miałem przy starym domu" Jego starego domu już nie ma, poszedł na wyburzenie pod nowe osiedle.

Zaraz się zatną. Mietek spogląda za zjeżdżającą windą. On jeden w wieżowcu zna się na tym urządzeniu. Zatną się, bo zjeżdżają w dół z otwartą szafą (w tej windzie jest dodatkowa szafa na przewóz mebli). Mietek kiedyś podpatrzył, jak konserwator otwiera „zaciętą" windę. A że sam chodzi do technikum, to szybko pojął w czym rzecz. Ze trzydzieści razy już ludzi wypuszczał.

W wieżowcu ciągle ruch — wozi się meble, więc jak ktoś się zatnie i zadzwoni „alarm", to najlepiej skoczyć po Mietka na ósme piętro.

Kamena str. 7

DONIOSŁA PRÓBA SIŁ

Maria Bechczyc-Rudnicka

KIEDY lubelski Teatr im. J. Osterwy wystawił elsynorską „tragiczną historię księcia Danii" po raz nierwszy, zawołałam z patosem w tytule mej analizy spektaklu: NARESZCIE „HAMLET"! Łatwo więc byłoby dzisiaj ulec pokusie nadania kolejnej ocenie — tytułu: ZNÓW „HAMLET"! Lecz miałby taki tytuł odcień pejoratywny nieuzasadniony w przypadku, gdy nawrót do arcydzieła następuje po całych dziesięciu latach, podczas których nowe pokolenie widzów dojrzało do jego oglądania, a i w samym zespole teatralnym zaszły przemiany dopingujące poszczególnych aktorów do wypróbowania sił w różnych postaciach „Hamleta". I czyż trzeba nadto przekonywać o zasadności realizacji myśli inscenizacyjnej odmiennej od zaprezentowanej poprzednio?

Zastanówmy się raczej, na czym, konkretnie mówiąc polega ta odmienność?

Premierę obecnej inscenizacji „Hamleta" poprzedził wywiad prasowy z Ireną Babel, w którym rozmówca znakomitej reżyserki wydaje się sugerować, jakoby „naczelnym kryterium" proponowanej przez nią interpretacji była „bliskość Hamleta" naszej współczesności. Obawiam się, iż tak ogólnikowa (nader dziś chodliwa) definicja jest... nieporozumieniem. Przecie miliony już milionów razy stwierdzano, że „Hamlet" jest dziełem ponadczasowym, a skoro stwierdzimy to raz jeszcze, musimy zarazem pamiętać, że ponadczasowość tej sztuki implikuje aktualność jej problemów we wszystkich momentach dziejów ludzkości, nie stanowi więc owa aktualność cechy specyficznej tej czy innej inscenizacji.

Na końcu przytoczonego w lubelskim programie passusu komentarza do warszawskiej inscenizacji Ireny Babel z roku 1965 czytamy:

W „Hamlecie" jest wiele spraw: polityka, przemoc i moralność, spór o jednoznaczność teorii i praktyki, o cele ostateczne i sens życia, jest tragedia miłosna, rodzinna, państwowa, filozoficzna, eschatologiczna i metafizyczna (...) Można wybierać.

A zatem może to wybór sprawy do uwydatnienia będzie stanowił o „współczesności" spektaklu? Oczywiście — nie, ponieważ każdy z wymienionych problemów tej ponadczasowej sztuki jest zdolny poruszyć współczesnego widza. Stąd zwykły wniosek logiczny: każda inscenizacja „Hamleta" jest współczesna od strony treści — siła samej jego treści. I nie może być inaczej, chyba że spektakl będzie tak lichy, że żaden z problemów szekspirowskich nie dotrze do widza.

Nie na jakimś osobliwym „uwspółcześnieniu" problematyki polega tedy specyfika oglądanej obecnie w Lublinie inscenizacji „Hamleta". Nie na osobliwym wyborze wątku. Bo nawet problem śmierci i ewentualnego, że tak powiem — *outre-tombe*, który nie może nie fascynować reżysera (niezależnie od tego, czy owo zagadnienie jest dziś „modne" czy nie) nie znalazł w realizacji szczególnego uwypuklenia. I tu dochodzę do mej podstawowej konkluzji: specyfika inscenizacji zrealizowanej u nas przez Irenę Babel jest po stokroć godne uznania wyrzeczenie się udziwień formalnych, już zresztą bardzo zużytych i zbanalizowanych, jak sama o tym napomyka pani reżyser we wspomnianym wywiadzie prasowym. Pomysłów formalnych — dodajmy od siebie — które częstokroć przesłaniają ważne sprawy.

Wydaje się, że dążeniem Ireny Babel było po prostu (a to nie jest mało) wydobycie z „Hamleta" tego maksimum wartości, jakie można uzyskać przy pomocy rozporządzalnego „tworzywa" tj. danego reżyserowi do dyspozycji zespołu aktorskiego. Innymi słowy bogate doświadczenie znakomitej reżyserki było dobrym jej doradcą wstrzymując ją od wystartowania z aprioryczną „koncepcją" zamiast oparcia inscenizacji na poznanych dyspozycjach aktorów, jak to właśnie szczęściem uczyniła.

Rzecz jasna, że punktem wyjścia do całości musiały stać się cechy charakterystyczne talentu aktora tworzącego postać tytułową. Otóż wiadomo od dawna, że nie ma chyba ani jednego utalentowanego aktora, któryby nie widział siebie w marzeniach — Hamletem. Jakoż okazało się nagle w tym roku, że było to również skryte marzenie naszego bardzo cenionego artysty Piotra Suchory. Różnostronny talent, ranga intelektualna dawały mu do tego prawo. Nie było przeciwwskazań, zwłaszcza że należało mieć na względzie perspektywę jeszcze mocniejszego i trwalszego powiązania Piotra Suchory ze sceną lubelską, na której brylował w licznych celnie stworzonych postaciach. Taka jeśli się nie mylę, jest geneza wystawienia w Lublinie „Hamleta" z Suchorą w roli nieśmiertelnego księcia Danii.

Powiadam: Piotr Suchora jest aktorem utalentowanym o szerokich możliwościach. A więc oczywiście gra swego wymarzonego Hamleta sprawnie. Swojego Hamleta. Tak bez wątpienia sprawnie, a w pewnych momentach na swój sposób porywająco. Postaram się jednak sprecyzować mój odbiór odwołując się na chwilę do lubelskiego przedstawienia sprzed lat dziesięciu.

Przed dziesięciu laty, w inscenizacji Kazimierza Brauna, rolę Hamleta grali na zmianę: Andrzej Gazdeczka i (gościnnie) Zdzisław Wardejn. Obaj młodzi, utalentowani, pełni zapału, posiadający dobrze opanowany warsztat. Pamiętam — Wardejn był świetny w scenie z matką, ale na ogół wydał mi się w porównaniu z Gazdeczką mniej szekspirowskim Hamletem, bo zbyt przemądrzałym. Jak odnotowałam wtedy, wydał mi się młodzieńcem, który wszystko wie, nie tym zaś — który przy genialnej intuicji ma jeszcze dużo mądrych wątpliwości do przemyślenia.

Analogicznie jawi mi się postać stworzona przez Piotra Suchorę (i to już bez innych cech Hamleta dostrzeganych w wykonaniu Wardejna). Hamlet Suchory jest niezmiernie dynamiczny, co daje wprawdzie dobry efekt w scenach wielkiego gniewu (np. w scenie z matką), lecz jakby nie pozostawia mu czasu na duchową rozterkę, na przejmującą refleksję, która ciężar gatunkowy tego dzieła stoi.

Owszem, arcymonolog ze sceny I aktu III został powiedziany z głęboką introspekcją, z nobilwą prostotą, bez artystowskiego efekciarstwa, lecz trudno oprzeć się wrażeniu, iż była to chwila zadumy przelotnej, że w gruncie rzeczy ten Hamlet jest całkowicie pochłonięty myślą o karze, ba — o zemście, że jest niemal wyłącznie mścicielem. Zawziętym, bezwzględnym — wbrew tekstowi. Uderza ta jednotonowość zwłaszcza w scenie z Ofelią, gdzie Hamlet Suchory zraża do siebie oschłością, gdzie brakuje kontrastów, przejścia od tonu gniewnego, brutalnego do czułe litościwego.

Otrzymaliśmy w sumie postać konsekwentną, ale czy pożądaną? Osobiście, przyznam się, wolałabym widzieć Piotra Suchorę w roli Ryszarda III, w której byłby z pewnością rewelacyjny (sugeruję przy okazji, że może warto wystawić u nas z kolei tę wspaniałą tragedię Szekspira w przyszłym sezonie i uprosić o jej inscenizację Irenę Babel).

Śmiałym pomysłem reżyserskim było przełamanie tradycji, wedle której zewnętrzna aparycja Króla Klaudiusza bywa przeważnie niekorzystna. Powierzenie tej roli aktorowi o powierzchowności atrakcyjnej mogło przechylić sympatię widza na stronę zbrodniarza. I na to się początkowo w istocie zanosiło wobec agresywnej postawy Hamleta. Ale występujący gościnnie na lubelskiej scenie warszawski aktor Ryszard Barycz (którego już oklaskiwaliśmy jako Stroopa w „Rozmowach z katem") potrafił spowodować we właściwym momencie właściwy stosunek do postaci. Tym sposobem pomysł reżysera dał oczekiwane dwa dobre wyniki: primo — oblicze uzurpatora nie odsłania się od

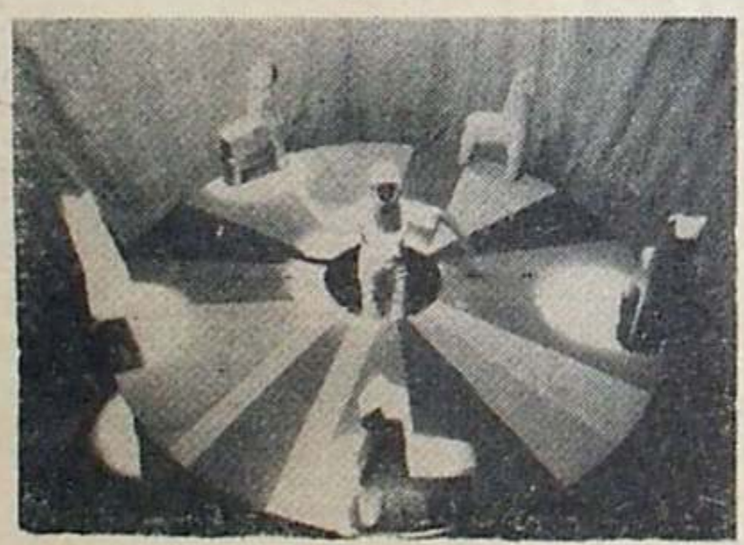

Scena ze sztuki „Dokąd pędzisz koniku?" W centrum karuzeli — Barbara Strelnik — Chłopiec

Fot. Zb. Jaśkiewicz

Zaproszenie do świata wyobraźni

Mirosław Derecki

Przyjacielu, chcę żebyś poszedł razem ze mną w świat, który się otwiera, gdy zamknie się oczy (...) Do tego świata możemy też wprowadzić naszych najbliższych przyjaciół, lalkę spod poduszki, konika z karuzeli. (...) Potrzebne jest do tego tylko jedno magiczne słowo: «wyobraź sobie» Ja używam tego słowa z aktorami, scenografem, kompozytorem do momentu, kiedy przyjdziecie do teatru, zgasną światła i rozpocznie się spektakl. Reszta należy do Ciebie.

TAK pisze reżyser Włodzimierz Fełenczak, we wstępie katalogu do sztuki bułgarskiej autorki, Rady Moskowej, „Dokąd pędzisz koniku?" wystawionej przez lubelski Teatr Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena. Nie jest to wypowiedź przypadkowa. Obserwując działalność lubelskiego teatru w ostatnich sezonach, bez trudu dostrzega się położenie szczególnego akcentu na rozwijanie wyobraźni młodych widzów, na przygotowywanie ich do odbioru w przyszłości tych wszystkich form i propozycji, które niesie ze sobą „dorosły" współczesny teatr. Stawia to Teatr im. H. Ch. Andersena w rzędzie najambitniejszych polskich teatrów lalkowych, a jego realizacje wśród najbardziej — czasem — kontrowersyjnych. Przykładem niech będzie ubiegłoroczna „Królowa śniegu", wzbudziła liczne dyskusje i spotkała się z wieloma zarzutami, ale na III Biennale Sztuki dla Dziecka przedstawienie to otrzymało nagrodę za reżyserię i scenografię. Rozwijanie wrażliwości estetycznej, nierzadkie odwoływanie się do sfery podświadomości, uczenie myślenia abstrakcyjnego — oto do czego wydaje się zmierzać Fełenczak tak mocno stawiając zawsze na inscenizacje, scenografię i muzykę. Mam tutaj na myśli przede wszystkim realizacje sceniczne dla widowni „starszej" bo inne i inaczej gra się pozycje dla czteroletnich maluchów niż dwunastolatków czy dla osób dorosłych, choć zrealizowany przed laty w Lublinie doskonały „Tryptyk staropolski" zdobywca Grand Prix na Festiwalu Teatrów Lalkowych w Opolu w 1973 r. był w równym stopniu przedstawieniem dla młodzieży co dla dorosłych. A na przykład niedawny, bardzo poetycki, rozgrywany w „żywym planie" — ale też z udziałem lalki — „Mały książę" przeznaczony był dla widzów w wieku dyskotekowym.

O niekonwencjonalnym podejściu do realizacji „Dokąd pędzisz koniku?" może świadczyć już sam fakt powierzenia scenografii Leszkowi Madzikowi, jednemu z ciekawszych obecnie przedstawicieli polskiego teatru studenckiego, założycielowi Sceny Plastycznej KUL, twórcy „Ikara", „Zielnika", „Wilgoci". Nawiasem mówiąc wszystkie realizacje Madzika w jego „własnym" teatrze zakładają bardzo silne powiązanie plastyki z muzyką co koresponduje — przy całej różności stylistyk obu teatrów — w pewnej mierze z założeniami Fełenczaka. Madzik doskonale potrafi organizować przestrzeń i dał tego dowody również teraz w „Dokąd pędzisz koniku?", wkraczając po raz pierwszy na zupełnie nowy dla siebie teren. Sztuka Rady Moskowej jest poetycką opowieścią o koniku który zafascynowany blichtrem przybyłego Wesołego Miasteczka dał się przywiązać — niby koń drewniany — do karuzeli, dał się zwieść podstępnemu właścicielowi. Będzie teraz wykorzystywał każdą okazję, aby uciec ze swojego więzienia, odzyskać wolność i niezależność, namawiając do pomocy i do ucieczki równie jak on nieszczęśliwego Chłopca tłumacząc Jarmarcznej szkapie, że lepszy suchy chleb na wolności niż codziennie zapewniona miska zupy w niewoli.

Komeno str 8

razu, mieszając się, że tak powiem, wieloma barwami i secundo — namiętność Gertrudy znajduje naturalne uzasadnienie. Atutem, jaki daje wykonawcy roli słynna modlitwa Króla w scenie III aktu III, zagrał Ryszard Barycz bardzo umiejętnie.

Pamiętano Zytę Połomską jako Królowę w inscenizacji Kazimierza Brauna. Obecnie, niezawodna wykonawczyni wielu rozlicznych ról pierwszoplanowych znacznie wzbogaciła swoją Gertrudę ukazując wymownie przejawy miłości macierzyńskiej i odzyskiwanej godności kobiecej — w dramatycznym starciu z synem, w zahamowaniu namiętności do Klaudiusza po tej scenie i wreszcie w bezbłędnie zagranej scenie przedśmiertnej.

Stanisław Olejarnik niezapomniany Chopin z „Lata w Nohant" na wstępie swej kariery artystycznej, potem przezabawny Chudogęba, świetny król Jan Kazimierz w „Mazepie", Wujek w „Kartotece", wzruszający Stary Aktor w „Wyzwoleniu" itd., itd. (całkiem niedawno przesympatyczny Profesor Polieżajew w „Niespokojnej starości" Rachmanowa), przemienił się tym razem kunsztownie w służalczego dworaka i przebiegłego dyplomatę — Poloniusza, wykazując się nieprzeciętnym uzmysłowieniem intonacji, mimiki i gestu już w scenie pouczeń udzielanych synowi wyruszającemu w podróż do obcego kraju.

Wielką satysfakcję sprawił mi sukces Małgorzaty Nieśpiałowskiej. Tę Ofelię można z całym przekonaniem nazwać kreacją. Ani przez chwilę nie skażona „przesłodzeniem" (często dostrzeganym w innym wykonaniu), Ofelia Nieśpiałowskiej jest dziewczyną doprowadzoną do stanu skrajnego przygnębienia niegodnymi nakazami rodziców i nie umówionymi zmianami w nastrojach Hamleta. A scena obłędu odtworzona przez Nieśpiałowską zdecydowanie odbiega od wszystkich wersji aktorskich, jakie mi dane było widzieć.

W tym miejscu kierujemy naturalnie gorące oklaski i pod adresem reżyserki, której zawdzięczamy mistrzowskie ukształtowanie niejednej sceny tego spektaklu (jak np. choćby wejście wędrownych aktorów w akcie II).

Nie mogę niestety oceniać każdej roli w omówieniu z konieczności zwięzłym na tych łamach. Natomiast niewątpliwie należy się całej obsadzie przynajmniej podanie nazwisk i podziękowanie za zapał, z jakim pracowała nieomal całymi dniami gwoli godnej prezentacji dzieła Szekspirowego. A więc — z wyżej wymienionymi aktorami współgrali ich koledzy: Jan Wojciech Krzyszczak (Horatio), Jerzy Rogalski (Laertes), Witold Zarychta (Voltimand), Tadeusz Płuciennik (Rosenkrantz), Jerzy Turowicz (Guildenstern), Piotr Wysocki (Ozeric), Ludwik Paczyński (Marcellus), Henryk Gonda (Bernardo), Jan Uryga (Francisko i Aktor II), Karol Siedlecki (Duch ojca Hamleta i Grabarz II), Maciej Polaski (Fortynbras), Włodziemierz Wiszniewski (Grabarz I), Krystyn Wójcik (Aktor I), Andrzej Redosz (Aktor III), Henryk Sobiechart (Żeglarz).

Realizacja „Hamleta" to zawsze dla teatru wielkie wydarzenie, gdyż jest ona sprawdzianem wydolności zespołu aktorskiego. Lubelski Teatr im. J. Osterwy dał nową premierą bezsprzeczny dowód, że może być ze swego zespołu dumny.

I na zakończenie *last but not least:* scenografia oraz muzyka. Syntetyczna oprawa zaprojektowana do inscenizacji Ireny Babel przez Ewę Tęczę sprzyja efektywnie wszystkim przewidzianym w akcji sytuacjom, dając też widzowi zadowolenie estetyczne. Niebanalnym pomysłem jest m. in. spuszczanie ciemnej horyzontalnej półkotary, kształtującej udatnie poszczególne wnętrza. Kostiumy są bardzo piękne.

Co zaś do muzyki Piotra Mossa, wręcz brak mi słów dla jej pochwały. Te lapidarne akcenty, osobliwe w wymowie, sygnalizujące nagle powagę działania się scenicznego, są jednym z najcelniejszych składników lubelskiej prezentacji „Hamleta". Cześć i chwała młodemu kompozytorowi, który ma już w dorobku kilkadziesiąt podkładów muzycznych tak świetnych, jak np. muzyka do „Starej kobiety" Różewicza, wystawionej ostatnio w warszawskim Teatrze Narodowym.

William Shakespeare — „Hamlet". Ryszard Barycz (Król Klaudiusz) i Piotr Suchora (Hamlet)

Fot. Z. Zugaj

Można opowieść Moskowej potraktować dosłownie; można dostrzec w niej sens alegoryczny, wartości natury filozoficznej, etycznej, kontekst moralny. Po tej właśnie drodze poszedł Feleńczak. Stworzył przedstawienie dla młodzieży starszej, ale z myślą — zapewne — również o dorosłej widowni.

Przedstawienie rozgrywane jest w „żywym planie", lecz obok aktorów występują w nim również lalki. Przy czym umowność powoduje, że często rolę lalki przejmuje żywy aktor i na odwrót — kwestie Konika-lalki przejmuje Konik-człowiek wkraczający teraz oto jakby w inny wymiar sceniczny. Koń czy Jarmarczna szkapa to przez cały czas przedstawienia żywi aktorzy, tylko swoim strojem, sposobem gry, sugerujący istotę przedstawianej postaci. Grają w klimacie smutnej groteski, tylko Konik i Chłopiec są w dźwięcznej, „romantycznej" tonacji.

Dramat Konika, Chłopca, Jarmarcznej szkapy i innych, ma się toczyć w naszym najbliższym zasięgu, jakby wokół nas. Leszek Mądzik wyszedł ze sceny na widownię długim pomostem, obwiesił ściany sali białymi kotarami na kształt namiotu cyrkowego, wprowadził migające kolorowe „psychodeliczne" girlandy lampek. Karuzela na scenie już to wiruje, już to zmienia płaszczyznę obrotu, lub też łamie się zamieniając się w namiastkę cyrkowego wozu ciągnionego z głuchym hurkotem przez dychawiczną, konającą z wysiłku Jarmarczną szkapę. Przedstawienie rozgrywa się w różnych planach fizycznych i czasowych, z różnych miejsc i perspektyw angażując widza, każąc mu odczuwać, reagować, myśleć na zasadzie współuczestnika.

Po tych wszystkich pozytywach — pretensje: choć przedstawienie kończy się happy-endem, widz wychodzi z teatru przejęty egzystencjalnym smutkiem i nieco przytłoczony. No i zrażony raz na zawsze do instytucji Wesołych Miasteczek. Mądzik nie należy do twórców tryskających radosną witalnością i może do tzw. n a s t r o j u przyczyniło się wybranie takiej właśnie a nie innej sztuki. Nawiasem mówiąc, bardzo jestem ciekaw, jak by sobie dał radę ten utalentowany twórca ze sztuką nieco lżejszej natury. Kostiumy Konika i Chłopca, rodem jakby z Makowskiego, odbijają od ogólnej koncepcji scenograficznej, ubrane w nie obie aktorki prezentują się po prostu niekorzystnie. (Rozumiem, że kiedy trzeba — to i Wojciech Siemion w przedstawieniu Kajzara przeistacza się w Starą kobietę w sztuce Tadeusza Różewicza, ale tutaj takiej potrzeby chyba nie było.) Trochę też za dużo w tym przedstawieniu krzyku, grania „na pedale". A że nie zawsze frontem do widowni, i nie we wszystkich przypadkach z najlepszą dykcją, więc i tekst bywa czasem trudny do uchwycenia.

W sumie jednak jesteśmy winni reżyserowi, scenografowi, twórcy muzyki i aktorom za „Konika" duże podziękowanie. Po przedstawieniu „Johannesa doktora Fausta" to kolejna — choć przecież bardzo różna — wartościowa pozycja lubelskiego teatru. Doceniają ją również na międzynarodowym forum. Na ostatnim, Międzynarodowym Festiwalu Sztuk Bułgarskich w Warnie (1—8.X.1978 r), w którym wzięły udział lalkowe teatry z Czechosłowacji, Jugosławii, Rumunii, Austrii, Włoch i Polski, lubelskie przedstawienie zdobyło złoty medal i trzy pierwsze nagrody: Włodzimierz Feleńczak za reżyserię, Leszek Mądzik za rozwiązanie scenograficzne i Mieczysław Mazurek za muzykę. Grand Prix festiwalu, „Złotego delfina", zdobył teatr z Białegostoku za przedstawienie sztuki „6 małych pingwinów". Tak więc Polacy byli zdecydowanie najlepsi. Warto przytoczyć fragment wypowiedzi Any Szomowej, przewodniczącej jury teatrów zagranicznych, która w ten sposób pisała na łamach festiwalowego biuletynu o „Dokąd pędzisz, koniku?" [...] *Na uwagę zasługuje jedyny spektakl także dla dorosłych — realizacja sztuki Rady Moskowej „Dokąd pędzisz koniku?" [...] Spektakl ten zrealizowany jest bardzo oryginalnie, a wszystkie jego komponenty — reżyseria, scenografia, pantomima, muzyka, światło, gra aktorska „na żywo" i z lalkami — spojone mocno w jednolitą całość zawładnęły widzów bez reszty, ukazując filozoficzną ideę sztuki o wiecznym dążeniu człowieka do wyzwolenia się z przemocy i pragnieniu wolności. To był swego rodzaju swoisty eksperyment artystyczny, który zmusza do namysłu, do oceny artystycznej i wniosków [...]*

Jeżeli do takich ocen dodamy jeszcze informację o szeregu działań parateatralnych, o akcjach na rzecz upowszechnienia sztuki, jakie teatr lubelski prowadzi wśród młodzieży, o współpracy z placówkami oświatowymi i z samorządem mieszkańców Starego Miasta, gdzie mieści się jego siedziba, to możemy stwierdzić, że w przyszłorocznych obchodach 25-lecia istnienia Teatr im. H. Ch. Andersena będzie miał się czym pochwalić dokonując bilansu ostatnich sezonów.

Rada Moskowa: „Dokąd pędzisz koniku?". Przekład — Dimitriana Bukowska, reżyseria — Włodzimierz Feleńczak, scenografia — Leszek Mądzik, muzyka — Mieczysław Mazurek. Obsada: Konik — Maria Perkowska, Chłopiec — Barbara Strelnik (adept), Jarmarczna szkapa — Andrzej Ludwik Jóźwicki, Właściciel — Janusz Fifowski, Koń — Kazimierz Lutomski, animacja cieni — Halina Łobaczewska, Alina Sternik, Zofia Janicka-Talaj, Wanda Wilhelm, Fred Kosmala.

TEATR W KLUBACH

O CZYNNYM i biernym bywaniu w teatrze oraz szeregu innych problemów związanych z upowszechnianiem kultury teatralnej mówiła w wykładzie inauguracyjnym specjalnej ogólnopolskiej sesji poświęconej temu zagadnieniu dr Wanda Reik z Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej w Łodzi. Sesja zorganizowana przez RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Lublinie w ramach obchodów 30-lecia klubów Międzynarodowej Prasy i Książki, odbyła się w dniach 23—25 października i zgromadziła działaczy 41 klubów MPiK istniejących w kraju. Obrady odbywały się w klubie przy ul. Leonarda, tam też zaprezentowano szereg przedstawień teatrzyków stale współpracujących z lubelskimi klubami MPiK. Oglądaliśmy więc m. in. „Opowiadanie o Zoo" E. Albeego zaprezentowane przez Studium Dramaturgii Współczesnej, Teatr Jednego Aktora prowadzony przez Kalinę Możdżeńską, Teatr Oryginalnej Wersji Językowej, Studium Dramaturgii Rosyjskiej i Radzieckiej, Teatrzyk Lalkowy „Krzyś", Studencki Teatr „Provisorium" dał spektakl „W połowie drogi" wg Gombrowicza. Uczestnicy sesji wyjechali też do podlubelskich Gardzienic, gdzie obejrzeli „Program wiejski" tamtejszego Stowarzyszenia Teatralnego „Gardzienice". Przede wszystkim jednak lubelska sesja miała za cel przedyskutowanie problemu krzewienia kultury teatralnej przez kluby MPiK oraz wymianę własnych w tym względzie doświadczeń.

Mocno podkreślano w trakcie obrad rolę wychowawczą teatru w kształtowaniu etycznej i moralnej sylwetki współczesnego człowieka, potrzebę umiejętnego wdrażania młodzieży w różne formy społecznego działania. Zwracano uwagę, że jednym z podstawowych zadań placówek kulturalnych jest krzewienie kultury teatralnej, uświadamianie roli teatru w społeczeństwie, „przygotowywanie" do rozumienia teatru, szczególnie jego ambitnych, trudniejszych form. Właśnie „teatry małych form", „teatry przy stoliku" lub „teatry przy kawie", spotkania, prelekcje i dyskusje tak często stosowane w działalności klubów MPiK sprawdzają się najlepiej. Każdy z 41 istniejących w Polsce MPiK-ów prowadzi działalność w tym zakresie.

Chociaż istnieje dość duży „rozrzut"; niektóre kluby wręcz wyspecjalizowały się we współpracy z teatrami, poszczególnymi aktorami czy teoretykami teatru. W Bydgoszczy prowadzone są stałe dwa cykle: „Portrety twórców" i „Scena klubowa", w której ramach odbywają się spektakle „Teatru faktu". Tutaj też tradycyjnie w Międzynarodowym Dniu Teatru wręcza się „Złote maski" za działalność upowszechniającą kulturę teatralną. Klub gdański nawiązał porozumienie z teatrami awangardowymi: Teatrem Kantora, Teatrem Laboratorium Grotowskiego. Działa też tutaj Mała Scena „em". Klub MPiK w Gnieźnie stał się jednym z inicjatorów zorganizowania Festiwalu Sztuk Fredrowskich, klub w Kaliszu ma swój „Teatr przy kawie", a klub z Koszalina współdziała blisko ze znanym tamtejszym Teatrem Propozycji „Dialog".

Bardzo ożywioną działalność na polu krzewienia kultury teatralnej prowadzi klub MPiK w Lublinie — od spektakli Teatru Jednego Aktora po wieczory poezji śpiewanej, a klub w Opolu — cykle „O teatrze prawie wszystko" i „Poniedziałek po premierze". Klub ten był również współorganizatorem ogólnopolskiej sesji Klubu Krytyki Teatralnej SDP. Przed dziesięciu laty powstał w Klubie MPiK w Płocku stały Eksperymentalny Teatr Małych Form. Nawiązał on współpracę z warszawskim Teatrem Adekwatnym prowadzonym przez Magdę Teresę Wójcik i Henryka Boukołowskiego. W Rzeszowie organizowane są imprezy w ramach cyklu: „W kręgu teatru, literatury, muzyki", a podczas „Wieczorów przy samowarze" prezentuje się poezję radziecką. Niezwykle ożywioną działalność teatralną prowadzi klub MPiK w Toruniu mogący wykazać się imponującą liczbą występujących tutaj teatrów małych form, czyli dyskusyjnych i popularyzatorskich. No i żywym współuczestnictwem w odbywających się w Toruniu znanych imprezach teatralnych: Festiwalu Teatrów Polski Północnej i Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Jednego Aktora.

Z klubem toruńskim mogą konkurować tylko cztery (!) kluby MPiK działające w Lublinie. Nie wyliczając szeregu imprez teatralnych tutaj stale organizowanych, wspomnieć należy tylko o Studium Dramaturgii Współczesnej działającym w klubie przy ul. Krakowskie Przedmieście, o „Teatrze Propozycji Dramaturgii Radzieckiej" i „Studium Miniatur Teatralnych" w klubie „Masza" oraz o Teatrze Oryginalnej Wersji Językowej. Premiery tego ostatniego odbywają się co kwartał w klubie przy ul. Grażyny, który ukierunkowany jest głównie na naukę języków obcych.

Działalność lubelskich Klubów MPiK jawi się na tle ogólnopolskim jako najciekawsza, a zasługa w tym szczególna p. Janiny Jarzynowej, obecnej kierowniczki klubu przy ul. Leonarda oraz założyciela i kierownika Studium Dramaturgii Współczesnej, lubelskiego aktora Romana Kruczkowskiego. On i współtwórcy z nim aktorzy Teatru im. Osterwy znaleźli formę pośrednią między tradycyjnym już „teatrem przy stoliku" a teatrem żywego planu. Biorą na warsztat pozycje najciekawsze z teatralnego repertuaru światowego, pozycje trudne, takie, na które nie zawsze może sobie pozwolić „normalny" teatr muszący się liczyć m. in. także z planem sprzedaży biletów, z zadaniami gry dla szerokiego widza. Występują już ósmy rok, dali 64 premiery — w każdą pierwszą niedzielę miesiąca w klubie MPiK przy Krakowskim Przedmieściu odbywa się premiera kolejnej sztuki — i zdobyli sobie własną, wcale szeroką publiczność. A właśnie o to przecież chodzi w akcji upowszechniania kultury teatralnej przez kluby MPiK. Akcji tej szeroko — jak się okazuje — zakrojonej, a nie zawsze szeroko dostrzeganej.

(m. d.)

Otwarty krąg?

Tadeusz Jasiński

...W chemii umiem znaleźć akcenty humanistyczne powiedziałbym nawet romantyczne...

Teofil Lawgmin

— ZDARZAJĄ się nauczyciele, którzy twierdzą, że są znużeni zawodem. Oni się trudzą, a wyniki osiągają marne, bo uczniowie są niezdolni, albo są zdolni, ale leniwi. Jeżeli ktoś pracuje przez lata jednakowo, to efektów nie ma i mieć nie może ani teraz, w szkole podstawowej i średniej, ani potem, gdy jego uczniowie pójdą na studia. Zresztą, absolwenci tak prowadzeni na wyższe uczelnie rzadko się dostają. Nauczanie i wychowanie przebiegające jednostajnie są wręcz męczące i to dla obu stron.

Pedagog, który wypowiedział te zdania, nazywa się Teofil Lawgmin, jest profesorem I Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Zamoyskiego w Zamościu i naucza chemii. Ma pięćdziesiąt sześć lat i sporo przeżył. Z początku wydał mi się nieco oschły i nieprzystępny, tym bardziej, że dyrektor tej placówki, mgr Bolesław Hass, uprzedził mnie, że profesor nie jest skory udzielać wywiadów, niechętnie rozmawia z dziennikarzami. Rzeczywiście, wyczuwam w nim człowieka zasadniczego.

Kilka dni wcześniej przemawiał w Belwederze w imieniu odznaczonych pedagogów całego kraju, gdy otrzymał najwyższy tytuł: Zasłużony Nauczyciel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Próbuję odejść od współczesności, wracam w pytaniach do życiorysu z dzieciństwa i młodości. Padają jednak zwięzłe, niemal żołnierskie odpowiedzi, major rezerwy Teofil Lawgmin zadania mi nie ułatwia.

Urodził się w Witebsku. W 1941 roku, gdy miał 19 lat, powołany został do Armii Czerwonej. Walczył, brał udział w bitwach, tak, także w tych przegranych, gdy trzeba było się cofać, ale i w tych, które sprawiały, że najeźdźca musiał się zatrzymać i wreszcie uciekać własnym śladem. Kule omijały młodego żołnierza. Świstały w tych miejscach, gdzie się znajdował, pociski rozrywały się, jak wszędzie, a przecież miał szczęście w radzieckim i polskim wojsku. No właśnie, bo po dwóch latach bojów ochotnik Teofil Lawgmin znalazł się w I Dywizji WP im. T. Kościuszki. Po bitwie pod Lenino rozkaz skierował go do I Brygady Artylerii im. Józefa Bema, by walczył pod pułkownikiem Nałęczem - Bukojemskim. Sylwester z czterdziestego trzeciego na czwarty przypadł już bliżej stron młodości, bo pod Smoleńskiem. Do Witebska, zdawało się, już bardzo blisko. Bliżej było wtedy także do Polski, której nie znał, ale tak wiele mówiono o niej w rodzinnym domu: tyle dobrego, tyle pięknego. Matka — Polka, ojciec — pochodzenia litewskiego, oboje przedstawiali mu ten sąsiedni kraj tak sugestywnie i idealnie, jak tylko potrafili. Zanim jednak jego jednostka dotarła na zachodni brzeg Bugu, został Lawgmin wyróżniony i skierowany do Oficerskiej Szkoły Łączności w Riazaniu. Nadszedł lipiec i młody podporucznik przekroczył Bug, by ruszyć przez wyzwalaną ojczyznę matki ku starym granicom Rzeszy. Wpierw jednak, gdy tylko za plecami poczuł tę rzekę...

— Całowałem ziemię, wielu kładło się i tak samo się z nią witało. Całowałem ziemię, bo matka kiedyś wciąż mówiła o tych, co wracali, że tak się z nią witali. Marzenia okazały się realne. Nikogo w Polsce nie miałem, ale gdy tak usta trzymałem przy spieczonej słońcem ziemi i kiedy potem szliśmy przez ten odzyskany kraj, przemówiło do mnie z największą siłą to, co wpojono mi w rodzinnym domu. Czułem to jakoś tak blisko, jakoś tak swojsko. Proszę pana, redaktorze... tego już dzisiaj, po trzydziestu pięciu latach, opowiedzieć się nie da.

Profesor ożywia się niezwykle, poprzednia powściągliwość oddala się bezpowrotnie. Mówi jeszcze o skierowaniu do Zamościa. Był jednym ze współorganizatorów Oficerskiej Szkoły Łączności, instruktorem, wykładowcą. Po chwili smutnieje. Przypomina o bandach, o tym, że Polacy między sobą walczyli, o konieczności ochrony referendum i pierwszych wyborów do Sejmu, a najbardziej o kłodzkiej okolicy, gdzie trzeba było wytropić utajonych żołnierzy Werwolfu. Na utraconych terenach pozostawili ich w celach dywersji i sabotażu hitlerowcy. Wilkołacy byli wyjątkowo niebezpieczni, szkodzili zarówno ludności rodzimej, która od wieków czekała Polski, jak i pionierom osadnictwa. W końcu można było znowu wrócić do Zamościa, który stał się dla młodego człowieka tym najważniejszym miejscem na Ziemi, już na zawsze. Tylko że zdrowie, jeno że lekarze już w czterdziestym szóstym dostrzegli skutki wojny, przyglądali się z troską jego kondycji, a w trzy lata później Centralna Komisja Lekarska MON-u podjęła decyzję.

— To był wstrząs — mój rozmówca krótko określa stan swego ducha z tamtego okresu. — Nigdy bym wojska nie opuścił, tego wcale nie dopuszczałem do siebie nawet w myślach. To był wstrząs.

Trzeba było odtwarzać radzieckie świadectwo maturalne, bo zginęło. Proponowano pracę biurową, ale to nie to, więc został nauczycielem przysposobienia wojskowego w tym samym „zamoyszczaku", co obecnie, następnie w Technikum Ekonomicznym i wreszcie przed dwudziestu laty wrócił do Liceum im. J. Zamoyskiego. W międzyczasie studiował w Wyższej Szkole Pedagogicznej, a następnie chemię w UMCS. Nie pierwszy raz w naszej rozmowie pada nazwisko profesora Andrzeja Waksmundzkiego, a zaraz obok profesora Jarosława Ościka.

— Słuchaj, Lawgmin, jaką tym masz rękę? — zapytał kiedyś prof. Waksmundzki.

— Normalną, panie profesorze.

— No, spróbuj coś napisać. Spróbuj, może będzie dobre do druku.

Mgr Teofil Lawgmin przypomina sobie z rozczuleniem ten dzień, gdy usłyszał owe ty:

— To największa nagroda, tak ja to rozumiem, gdy profesor powie swojemu wychowankowi w ten sposób. Dopóki mówi mu pan, nie ma się z czego cieszyć, ale gdy padnie to pierwsze słowo, jest ono takim wyróżnieniem, jak wielkie odznaczenie, a może znaczy nawet więcej. Nie można tego zawieść. Mój szacunek dla profesorów jest... no, prof. Waksmundzki rozbudził we mnie chęć poszukiwań, ale i skłonił do wyrażania spostrzeżeń i wyników na piśmie. Podobnie prof. Ościk. Jestem im wdzięczny tak bardzo, że nie umiem tego wyrazić, dzięki nim jestem tym, kim jestem.

Ręka okazała się rzeczywiście zwyczajna, ale myśl, wyniki dociekań profesora szkoły średniej okazały się zbieżne z tym, co podejrzewali profesorowie uniwersyteccy. Dlatego przez dziesięć lat czasopismo „Chemia w szkole" opublikowało kilkadziesiąt artykułów Lawgmina, głównie związanych z chromatografią. Jest to jedna z metod analizy chemicznej, pozwalająca na określenie stanu jakościowego i ilościowego badanej mieszaniny substancji zarówno organicznych, jak i nieorganicznych, służy obecnie także do badań strukturalnych związków organicznych i stałych fizykochemicznych. Drukował także w radzieckim piśmie o tej samej nazwie oraz w naszej „Oświacie i wychowaniu". Od kilku lat jest zaocznie członkiem komitetu redakcyjnego „Chemii w szkole", jego nazwisko figuruje obok nazwisk znanych akademików. Jego publikacje są wynikiem stosowanej z udziałem uczniów tej metody na lekcyjnych zajęciach oraz z najzdolniejszymi w kółku chemicznym.

Dociekam, czy prof. Lawgmin posiada, czy stosuje jakąś szczególną metodę w nauczaniu i wychowywaniu. Jeśli chodzi o to pierwsze, wskazuje na krąg młodzieży przy tablicy i aparaturze. W czasie naszej rozmowy samodzielnie przeprowadzają analizę, zapisują jej wyniki, sprzeczają się o sprawy, których nie pojmuję nawet w części. Sprawdzają, czy poprzedni wykład i podręcznikowe dane pokrywają się z doświadczeniem. Otrzymali nowy temat. Widać aż nazbyt wyraźnie, że jest to metoda aktywizacji jednostek i zespołu. Zarówno dyrektor Hass, jak i jego zastępczyni, mgr Marianna Chwil, powiedzieli mi potem zgodnie:

— Profesor Lawgmin ma duże osiągnięcia z uczniami zdolnymi, co nie oznacza, że zaniedbuje średnich i słabych, ale tym najzdolniejszym poświęca wiele czasu pozalekcyjnego, szczególnie na zajęciach kółka chemicznego. Trzydzieści razy jego uczniowie zwyciężali w ogólnopolskich olimpiadach chemicznych, wielu dwu i trzykrotnie. Mamy olimpijczyków z lat poprzednich także w innych przedmiotach, np. uczeń Jerzego Zaborowskiego z wychowania muzycznego, Tadeusza Sańskiego z geografii oraz Janiny Gondek z biologii, jednak pan Lawgmin sprawił, że laureaci z chemii wciąż utrzymują naszą szkołę w czołówce krajowej. Wyniki z tego trudnego przedmiotu nie są ewenementem, który pojawia się i znika, są ciągłe. Przede wszystkim jednak liczy się bardzo dobra realizacja programu. Nasz starszy kolega nigdy nie ma z tym kłopotów, chociaż przedmiot tak bardzo się poszerzył. Potrafi wyzwalać ambicje uczniów, nie opuszcza mniej zdolnych.

Przypominam sobie zaprzeczenie Lawgmina, gdy rozmawialiśmy w pracowni. Tak, powiada, moi uczniowie znajdują się w czołówce, ale są od nas lepsi. W olimpiadach liczniej występują wychowankowie mgra Stanisława Górzyńskiego z II Liceum Ogólnokształcącego im. J. Zamoyskiego w naszym mieście, następnie dra Stanisława Banaszkiewicza z radomskiego LO im. J. Kochanowskiego, a dopiero na trzecim miejscu są nasi, ale to prawda, jesteśmy wciąż razem w czołówce kraju. Z wiszącej na ścianie wielkiej planszy spisuję nazwiska zwycięzców wspomnianych olimpiad ogólnopolskich. Rzeczywiście, zdarzają się absolwenci, którzy laury uzyskali nawet trzykrotnie. Mgr Zygmunt Będziejewski stał się młodszym kolegą swego nauczyciela w sąsiednim Technikum Rolniczym. Notuję tych ze zwycięzców, którzy uzyskali doktoraty, właśnie z chemii: Andrzej Biskupski, Józef Dołba, Tadeusz Gruszka, Zbigniew Piskorski, Józef Pomarański, Jacek Skarżewski, Marian Sochan, Andrzej Szymczyk, Juliusz Tyczkowski i Bogdan Zygmunt. Są kierownikami zakładów naukowych, starszymi i młodszymi asystentami w Politechnikach: Wrocławskiej przede wszystkim, Warszawskiej i Gdańskiej, na UMCS oraz w puławskim Instytucie Nawozów Sztucznych. Włodzimierz Kuśmierczuk skończył na „Jagiellonce" dwa fakultety — chemię i fizykę teoretyczną. Zbigniew Brzózka i Jerzy Kloc doktoryzują się także z chemii. A olimpijczycy, którzy studiują, bądź są nadal uczniami profesora Lawgmina? Jest ich kilku: Sławomir Cybulski, Maria Gienc, Zbigniew Kałuża, Marek Nykiel i Zbigniew Owczarczyk. Im „państwowe" stopnie nie wystarczały i nie zadowalają nadal.

Spisuję zdania z listu jednego z wymienionych doktorów, który po obronie rozprawy napisał m. in.:„Dziękuję bardzo za wszystko, co Pan Profesor dla mnie zrobił, a nie było to mało, wręcz dużo (...) Zdaję sobie sprawę ile Panu Profesorowi zawdzięczam. Pan Profesor nie tylko rozbudził we mnie zainteresowania tak ciekawą dziedziną, jaką jest niewątpliwie chemia, ale także sprawił, że doszedłem do tego momentu..." Listów podobnej treści mgr Lawgmin przechowuje w domu dziesiątki, wystarczy jednak cytata z tego jednego. Nie wszyscy piszą listy, ich losy pozostają nieznane. Martwi to, ale bardziej zasmucają zasłużonego nauczyciela wieści o tych co mogli, a nie spełnili oczekiwanych nadziei. Nie pozwala mi wpisać do notesu nazwiska jednego z laureatów, który posiadał wiele zalet przyszłego naukowca, chemię skończył zresztą dobrze, ale cóż, kiedy alkohol stał mu się milszy? Może się jednak opamięta, bo to duża strata dla chemii — wzdycha, zamyśla się i dodaje:

— Ci, których wybieram do kółka chemicznego, to kwiat, to śmietanka. Są niezwykle utalentowani. Wdrażamy tę młodzież do pracy badawczej, doskonalimy metody dydaktyczne i pedagogiczne, osiągamy, że idzie ona na studia chemiczne. Gdyby wyższe uczelnie pokierowały nią odpowiednio dalej, bo samo nauczanie nie wystarcza, a tak... często marnują się nawet najlepsi! — podnosi głos i zasępia się, a po chwili odpowiada:

— Pyta pan, czy nauczyciel chemii może wychowywać, czy jako członek partii dbam także i o tę stronę? Absurdalne jest myślenie, że nie. Kiedy podejmujemy jakiś temat, często przywołujemy uczniom obraz Polski, bo na mapie gospodarczej kraju są punkty, których pominąć nie sposób: Puławy, Płock, Oświęcim, Gorzów, Gdańsk, Chorzów, Tarnów, Police — lista jest dłuższa. Problemy mojego przedmiotu mogą łączyć się z wychowaniem obywatelskim, zresztą wynikają one nie tylko z własnej specjalności, dyktuje je życie. Trzeba uczyć, ale i wychowywać. W chemii umiem znaleźć akcenty humanistyczne, powiedziałbym nawet romantyczne. Zależy tylko jak człowiek się z nią obchodzi, jak zużytkowuje jej owoce. Można pociągnąć za sobą nie tylko młodzież zdolną, ale i tę mierną z danego przedmiotu. Zresztą, ona mnie lubi — wyznaje. — Moje uczennice i moi uczniowie przychodzą do mnie ze swoimi kłopotami, dzielą się nawet samobójczymi myślami. Szukamy wspólnie motywacji dla twórczego życia, sposobów przezwyciężania okresowych trudności i załamań. Za pięć lat mogę odejść na emeryturę. Nie dopuszczam nawet takiej myśli, chyba że zdrowie mnie do tego zmusi, ale to niemożliwe, żebym musiał zaprzestać pracy wśród młodzieży.

Teofil Lawgmin — odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski — w rozmowie wraca często do swoich nauczycieli akademickich: Waksmundzkiego i Ościka, mówi o ich wpływie na niego, o inspiracji. Jego uczniowie wyrażają w listach i bezpośrednio podziw i wdzięczność dla swego skromnego pedagoga, powiadają, że usiłują go naśladować. Krąg się zamyka. Czy jednak zawsze tak idealnie się zbiega i przylega? Między uczelniami wyższymi a szkołami średnimi zdarza się to, niestety, zbyt jeszcze rzadko. Cały artykuł niech posłuży za dowód, że jest przecież możliwe, więc...?

Kamena str. 10

Sztuka narodów ZSRR

Piękno trzeba zachowywać, trzeba wziąć je jako wzorzec, jako punkt wyjścia, nawet jeśli jest ono „stare". Dlaczego mamy odwracać się od prawdziwego piękna, rezygnować z niego jako punktu wyjścia dalszego rozwoju, tylko na tej podstawie, że jest ono „stare"? Dlaczego mamy czcić nowe, jak boga, któremu trzeba ulec, jedynie dlatego, że „to jest nowe"? Absurd, kompletny absurd!

TE słowa Lenina, wypowiedziane w rozmowie z Klarą Zetkin, odczytujemy dzisiaj jako ciągle żywą ideę kultury socjalistycznej. Życzliwe i twórcze nachylenie się nad humanistyczną tradycją sztuki określa naszą politykę kulturalną i w gruncie rzeczy jest tak oczywiste, tak mocno ulokowane w świadomości społecznej, że nie wymaga egzemplifikacji. W czasie Wielkiej Rewolucji Październikowej i w kilku latach późniejszych stosunek do dorobku kulturowego minionych stuleci nie był przecież tak jednoznaczny, nawet wewnątrz partii bolszewickiej. Działacze „Proletkultu" z jednej strony, artyści z wielu różnoimiennych ugrupowań awangardy z drugiej — ludzie ci często manifestowali swoją wrogość do tradycji, zarzucając jej burżuazyjne obciążenia, czy hamowanie rewolucyjnego marszu sztuki na nowe obszary poznania, o których nikomu się dotąd nie śniło.

O rozwoju kultury radzieckiej zadecydowało jednak stanowisko Lenina i takich wybitnych komunistów, jak Łunaczarski. Jeszcze w czasie gorączki polemicznej, jeszcze w okresie wojny domowej na obszarach późniejszego Związku Radzieckiego nowe władze ogłosiły takie dekrety i uchwały: „O ewidencji i ochronie zabytków historii i sztuki", „O nacjonalizacji muzeów i prywatnych zbiorów sztuki", „O zakazie wywozu za granicę dzieł sztuki i przedmiotów posiadających wartość artystyczną i historyczną". Decyzje te były praktycznym rozwinięciem tezy Lenina z 1920 roku, zawartej w przemówieniu „Zadania związków młodzieży", która głosiła, że „Kultura proletariacka powinna być prawidłowym rozwinięciem tych zasobów wiedzy, które ludzkość wypracowała pod jarzmem społeczeństwa kapitalistycznego, społeczeństwa obszarniczego, społeczeństwa czynowniczego".

Podstawową doktryną ideową i formalną, decydującą o późniejszym rozwoju sztuki radzieckiej, był i pozostał realizm, a więc takie widzenie świata i jego zjawisk, które pozostaje w zgodzie z potocznym postrzeganiem. Nigdy nie zyskały akceptacji czy reinterpretacji w estetyce i twórczości radzieckiej próby „bezgranicznego" poszerzenia pojęcia realizmu, podejmowane od końca lat sześćdziesiątych w różnych krajach Europy. Celem sztuki radzieckiej jest bowiem nadal p r z e d s t a w i a n i e, dokumentowanie, komentowanie rzeczywistości kraju budującego komunizm.

Bardziej precyzyjne określenie metody realizmu socjalistycznego przynosi imponujący pod względem typograficznym i informacyjnym album „Sztuka narodów ZSRR", wydany przez leningradzkie wydawnictwo „Aurora" we współpracy z naszymi „Arkadami". Pierwszą cechą tego realizmu — stwierdza autor wstępu — jest „zgodne z prawdą przedstawienie rzeczywistości i człowieka", drugą — humanizm, następnymi — ludowość i partyjność.

Pierwsza w Polsce tak obszerna (ponad 400 stron) publikacja o sztuce narodów radzieckich prezentuje dzieła, które spełniają wspomniane kryteria. Dlatego też nie znajdziemy w niej reprodukcji prac Malewicza, Tatlina, Gabo i Pevsnera, Gonczarowej czy Rodczenki, a więc artystów awangardy lat dwudziestych. 373 zdjęcia obrazów (tylko w kolorze!), grafik (w większości barwne) oraz rzeźb dają przecież dużo satysfakcji poznawczej i estetycznej, pozwalają nam na wyrobienie sobie poglądu na sztukę radziecką, jej ewolucję. Właśnie: okazuje się, że twórczość wierna realizmowi jest bardzo różnorodna formalnie i zmienna.

Jeśli w latach dwudziestych i trzydziestych w twórczości artystów radzieckich dominuje alegoria i symbol, nierzadko wpisane w formuły sztuki klasycznej, a przedstawiające sceny z wojny domowej, rewolucji i przywódców partii, jeśli w latach wojny z hitlerowskim najeźdźcą obok tematyki aktualnej pojawiają się zwycięskie momenty z historii Rosji, także przyobleczone alegorycznie i symbolicznie, to w miarę zbliżania się do naszych czasów sztuka ta coraz częściej eksponuje sprawy codzienne, zwyczajne, indywidualne — interpretowane optymistycznie, ale już nie patetycznie. Widać też, że artystów bardziej dziś satysfakcjonuje oryginalne rozwiązanie formalne i w ogóle poszukiwanie wartości wyróżniających autora, jego wizję malarską. Coraz też częściej spotykamy się we współczesnej twórczości radzieckiej z motywem pejzażu, ujmowanego w perspektywie lirycznej, jako miejsca osobistych doznań.

Warto poza tym zwrócić uwagę, że obecna sztuka radziecka rozwija się dzięki aktywności artystów z różnych republik, że Moskwa i Leningrad przestały już dominować w tej sferze kultury.

Sztuka polska posiada inne doświadczenia, inaczej też wygląda jej pejzaż dzisiejszy. Zastanawia przecież renesans tendencji realistycznych, przedstawiających, jaki obserwujemy w najmłodszym jej pokoleniu. Oczywiście, ten „młodopolski" realizm jest złożony, wyrósł na gruncie kultury artystycznej minionego ćwierćwiecza, ale...

IJK

W NEPALU NIE TYLKO O „KAMENIE"

Krzysztof Bakiera

W KATMANDU, stolicy niezależnego Królestwa Nepalu, znalazłem się w połowie maja br. Pora zresztą nie ma większego znaczenia, albowiem klimat tam raczej łagodny, sprzyjający całorocznej turystyce.

Przyleciałem z Delhi samolotem indyjskich linii lotniczych jako zwyczajny turysta. Nota bene korzystałem później i z samolotów nepalskich, ale nigdy nie udało mi się trafić na jedynego wówczas pasażerskiego Boeinga 727 z Królewskich Nepalskich Linii Lotniczych, ochrzczonego podobno mianem „Yeti" na cześć największej sensacji, jaką Nepal słynie.

Właśnie yeti („człowiek śniegu") oraz wysokogórskie wyprawy w Himalaje — oto, co może przeciętny Polak wiedzieć o Nepalu w najlepszym razie.

W warszawskim „Orbisie" uprzejma pani wpierw cztery godziny wtajemniczała mnie w połączenia samolotowe i kolejowe między Polską a Indiami, ale następnie powiedziała że orbisowskich połączeń z Nepalem po prostu brak i jakichkolwiek informatorów czy folderów o tym kraju także.

Nie słyszałem też, aby Nepal posiadał u nas przedstawicielstwo dyplomatyczne. Toteż wizę nepalską załatwiałem już w Indiach, uzyskując ją w zasadzie gładko, po czterech dniach oczekiwania.

Nepal, w 1951 r. ogłoszony konstytucyjną monarchią dziedziczną, od 1962 r. posiadający konstytucję, przeszedł w latach siedemdziesiątych pewną liberalizację życia politycznego, i dopiero niedawno otworzył się dla turystyki, aczkolwiek Anglicy mieli tutaj wstęp od lat ze względów historycznych (Wielka Brytania w 1923 r. uznała suwerenność Nepalu, zachowując jednak swe wpływy w tym kraju).

Na ulicach Katmandu, miasta ponad stutysięcznego, nie czuje się rytmu wielkiej metropolii, oczywiście. Centrum jest małe, samochodów osobowych raczej niedużo, głównie japońskie Hondy i Toyoty. „Każda ulica prowadzi w kartofle" — rzec by można po polsku.

Czuje się natomiast tak zwany oddech historii. Zabytków dosłownie tysiące, głównie w stylu „pagody". Dużo zaniedbanych. Do najciekawszych należą świątynie. Jedna z nich ozdobiona rzeźbą głowy „Boga Gór", wykonaną w formie kolorowej maski, przed którą ktoś codziennie wylewa świeżą krew.

Ale świątynie w większości nieczynne, zamknięte na kłódki. Zabytków pozostałych wszak tyle, że tubylcy z natury rzeczy mieszkają i handlują w zabytkowych budowlach, często nie zdając sobie sprawy z ich charakteru. W lokalnej prasie anglojęzycznej wyczytałem, że UNESCO przeznaczyła na renowację trzy miliony dolarów. Zadanie trudne, choć ślady prac konserwatorskich już tu i ówdzie widoczne.

Coraz lepiej natomiast orientują się tubylcy, iż na turystyce można zarobić. Sieć hoteli, przeważnie prywatnych, bardzo rozwinięta, aczkolwiek zwykle poniżej średniego standardu europejskiego. Doba kosztuje 1—1,5 dolara, czyli niby stosunkowo niedrogo. Ale przed hotelem „Sequin" w centrum podobnie zresztą jak i przed innymi, czyha tłuszcza handlarzy pamiątkami, tamtejsza opeliada, przed którą ciężko się opędzić.

Zwyczaj handlu na świeżym powietrzu bardzo tutaj rozpowszechniony. Na ulicach bazaru, też położonego w centrum, mnóstwo sklepików, ale wszystko, co najważniejsze do sprzedania, stoi przed sklepikami, na chodnikach.

Jeździ się po Katmandu, skoro już ktoś chce, rikszami rowerowymi. Nie ma określonej taryfy za przejazd. Rikszarz mówi dziesięć rupii (dolar równa się 14,5 rupii nepalskiej). Ja mu daję dwie rupie i jest zgoda. A jeśli nie ma zgody, to on będzie przy mnie wolno jechał i objaśniał uroki miasta po angielsku, licząc, że w końcu skorzystam z przejażdżki.

Parter hotelu „Sequin" zajmuje największa i najładniejsza w Katmandu palarnia narkotyków (wraz z restauracją). I to już niezbyt tani interes dla amatora.

Zakaz władz wprawdzie istnieje, lecz pali się narkotyki bez przeszkód, niemal oficjalnie. Wchodzisz do palarni. Bez butów. Wokół stoliki-jamniki, poduszki, dywany, aksamity. Wszystko zazwyczaj w kolorze czerwonym. Stoi kominek z kadzidłami. Kelner podaje ci zamówionego „papierosa", a potem masz wprawdzie pełną świadomość tego, co się wokół dzieje, ale przede wszystkim odczuwasz obojętność... Raz można spróbować, dla ciekawości.

Są zresztą tacy, którzy oddają się temu nałogowo. Specjalny rodzaj turystów, najczęściej spotykany na ulicach. Siedzą całymi winogronami na stopniach lub pod zadaszeniami świątyń. Okazuje się, że ruch „hippisów" przeniósł się z Europy i USA do Nepalu, gdzie notabene też ostatnio wygasa i coraz więcej ich wyjeżdża do Tajlandii czy Bangladeszu.

Choć na razie sporo jeszcze tej młodzieży w Katmandu, dokąd przybyła, na ogół synowie i córki zamożnych rodziców z pokaźnymi kontami w bankach, z Australii, USA, Francji, RFN... Pośród niej także miejscowi, zwani królami narkotyków. Można ich rozpoznać po czerwonym detalu odzienia — kamizelce lub spodniach, po siwych włosach (farbowanych?) i laskach z sandałowego drzewa.

Z całym tym towarzystwem nie ma rozmowy. Nie odpowiadają na pytania, częstują narkotykami w milczeniu, licząc, że ktoś dołączy do nich.

W nocy królowie narkotyków rozścielają kilimy na stopniach świątyń i zasypiają. Młodzież europejska zmierza raczej do hoteli, do małych restauracji, które są czynne, dopóki klient chce siedzieć, i gdzie podaje się mięso z drobiu, sałatki warzywne, ryż.

Jako turysta nie czułem się w Katmandu w stu procentach pewnie. Większe rzeczy zostawiałem w hotelu, ale torbę-almaturkę stale nosiłem ze sobą, a w niej najważniejsze przedmioty i papiery, tak że gdyby mi reszta zginęła, mimo wszystko do Polski bym dojechał bez przeszkód.

Otuchy dodało też spotkanie z rodakami, rodziną państwa Wawrzyniaków. P. Andrzej Wawrzyniak, przebywający w towarzystwie żony i córki na placówce dyplomatycznej PRL w Katmandu, jest dyrektorem muzeum zbiorów orientalnych w Warszawie, z zawodu historykiem. Okazuje się, że czyta „Kamenę", szczególnie od czasu dyskusji na jej łamach o polskiej wyprawie w Himalaje.

Nigdy bym nie pomyślał, że o lubelskim czasopiśmie będę z kimkolwiek rozmawiał w dalekim Nepalu. Jeszcze raz okazało się, że świat bywa mały.

Centrum Katmandu

Repr. W. Stępień

Krystyna Kudlaciuk

Kołem porysowane

WYZNACZYŁA sobie miejsce między niebem a ziemią. Grudy wyrwała spod swoich stóp. Już nikt nie przegoni jej teraz po zamkniętym kole. Spiętrzone ściany usuwały się, spadały w dół i wyrastały. W trzaskach rozbijanych w maszt promieni, była rozwaga i zew krwi nie utoczonej. Nikt nie obwiniał walki stoczonej bez pychy.

Wciąż wyrastały sprzymierzone pola. Czterogłowy półbóg miał swoje obawy, czy tej zagubionej w pienistych oczodołach wystarczy różańca. Z kim zechce prowadzić przerwane rozmowy: z bogiem, człowiekiem, czy oceanem?

Gwiazdy dosiadły swoich koni. Cwałem umknęły poza widnokrąg. Tętent cichokopytnych pozbijał w kąty chmury. Niebo znalazło miejsce na nocne wypoczywanie.

Znowu sama z pacierzem odwagi przepycha wiatr. W palce chwyta każdy świt dnia, zmoczoną bulawę nocy. W bolesny łuk zapina usta. — Tak, to ja! Na chwilę odwołana z kapitańskiego stanowiska, by śrubę wnętrzności dokręcić, trwam dalej.

Nim sen spienione wykruszył oczy, wyzwała noc. — Spróbuj, owczarzu, sennych dygnitarzy wybierać zjawy! Każdej nocy spuścić z łańcucha dzień. Wtedy możemy się zmierzyć! Uodporniłam myśli na każdy twój cień. Spójrz, jak porysowałam masztem twój granatowo-srebrny garnitur. Możesz się złościć! Teraz jednak pierwszym przed tobą jest człowiek! Człowieka głos w eterze. Ten głos był wolą przetrzymania z wyrysowanym szlakiem nadziei.

Wygrałam swój mocno przemoczony sen!

Dokończenie ze str. 1

strony klas i warstw posiadających, które dostrzegały w kapitale międzynarodowym sedno i sens ponadnarodowych związków. W przyszłości ta pierwsza linia miała zupełnie wyprzeć linię drugą.

Wprowadzenie wątku posiadania bądź nieposiadania kapitału jako kryterium sytuującego daną grupę społeczną w wachlarzu nurtów myśli politycznej niepodległej Polski pozwala podzielić je na nurty prawicowe, centrowe i lewicowe, rzecz oczywista tylko w odniesieniu do jej okresu międzywojennego. Fakt posiadania kapitału przez daną klasę lub warstwę niemal nieuchronnie popychał ją ku pragnieniom zachowania tego stanu rzeczy: konserwatyzm społeczny wypełniała w ideologii prawicowa treść polityczna. Usytuowanie społeczne w pozycji klas bądź warstw nie dysponujących kapitałem rodziło radykalne pragnienie wyzucia z posiadania posiadających, co było nieuchronnie sprzężone z ideami lewicowymi. Wreszcie drobnomieszczańskie zawieszenie ekonomiczno-społeczne między stanem posiadania a nieposiadania własności prywatnej skłaniało do zajmowania miejsca pomiędzy barykadami głównych konfliktów klasowych, wyrażanego w ideologii umiarkowaną, unikającą skrajności, centrową treścią polityczną. I tu rysował się kolejny szczebel integracji międzywojennej polskiej myśli politycznej w newralgicznej dla niej płaszczyźnie ekonomicznej.

Wśród wielu idei prawicowych najwcześniej i najtrwalej zarysowały się idee polityczne Narodowej Demokracji, zwanej też endecją, działającej na ziemiach polskich od końca XIX wieku. Były one wyrazem potrzeb i pragnień burżuazji, części ziemiaństwa i drobnomieszczaństwa a mistyfikujące grupowe interesy narodowe, czy też raczej nacjonalistyczne hasła endecji, zacierały ich klasowo-warstwowy sens najgłębszy, przyciągając w wyborach parlamentarnych okresu II Rzeczypospolitej także zdezorientowane politycznie ugrupowania chłopskie a nawet robotnicze. Chlubiła się endecja legitymacją aktywności niepodległościowej w trzech zaborach, antyniemiecką i prorosyjską orientacją polityczną, toteż jako ważna siła prawicowej myśli politycznej przyciągała poważne części polskiego społeczeństwa. Nigdy jednak nie miała zintegrować w sobie całej myśli prawicowej, co było nieukrywaną ambicją endecji.

Idea niepodległości narodu polskiego — pod zaborami i później w warunkach II Rzeczypospolitej — przybierała w interpretacji endecji barwy nacjonalizmu polskiego. Wyobrażała naród przedsiębiorczy, pracowity i silny, posługujący się narzędziem państwa jako jego tworem. Nacjonalizm ten w świetle myśli głównego ideologa endecji, Romana Dmowskiego, powinien zmierzać do poszerzenia polskiego stanu posiadania w przemyśle, handlu i rzemiośle nawet na drodze antysemityzmu. Gospodarcze dyrektywy endecji bliskie były założeniom doktryny liberalizmu z jego obietnicami równości szans społecznych i solidaryzmu społecznego. Państwo zorganizowne na wzór demokracji parlamentarnej miało obracać swoją siłę przeciwko ideom socjalistycznym i komunistycznym. Dla polityki zagranicznej endecja lansowała teorię absorbcji-objęcia granicami państwa polskiego takiego obszaru ziem innych narodów, zwłaszcza ukraińskiego i białoruskiego, które możnaby było spolonizować w ciągu życia paru pokoleń. Ten program skazany był na niepowodzenie, podobnie jak cała myśl polityczna endecji, która nie była w stanie doprowadzić do przejęcia władzy z rąk sił sanacyjnych.

Myśl polityczna polskiego stronnictwa chrześcijańskiego — chadecji, wspierała się na ideach narodu i państwa katolickiego. Szukała inspiracji w religii katolickiej i encyklikach papieskich, głównie encyklice „Rerum Novarum" przełomowej dla myśli papieskiej. Nierealnym hasłem upowszechnienia własności kokietowała klasę robotniczą, hasłem reformy rolnej — chłopstwo, a swoim światopoglądem — mieszczaństwo. Sprzeciwiała się łagodnie politycznym ideom sanacji, ostrzej ideom socjalistycznym, a najostrzej komunistycznym. Należąc do myśli prawicowej idee chadecji były ważnym elementem narodowej integracji na płaszczyźnie religijnej i wyrazem historycznej ciągłości idei katolickich w polskiej myśli politycznej.

Panującą myślą polityczną Polski dwudziestolecia międzywojennego była jednak myśl sił skupionych wokół Józefa Piłsudskiego, zwanych też rzadziej obozem belwederskim, częściej sanacją. Myśl ta odwoływała się nie tyle do idei narodu, ile do idei państwa, wyrażając hasłem sanacji pragnienia uzdrowienia państwa polskiego. W państwie upatrywały główną siłę integrującą wszystkie ugrupowania społeczeństwa polskiego na zasadach solidaryzmu społecznego, a więc odrzucenia radykalnych koncepcji w przedmiocie dróg i treści wprowadzanych przemian. Silne państwo, otaczane szczególnym kultem wodzostwa, miało ingerować w sprawy gospodarcze i inne ważne każdorazowo kwestie społeczne. Na zewnątrz miało jawić się jako militarna potęga urzeczywistniająca jagiellońską ideę parcia Polski na Wschód — popychana obsesyjną wrogością wobec Rosji, a następnie Związku Radzieckiego.

Tak jak rozbity był ruch chłopski, tak i rozbieżne były idee polityczne polskiego chłopstwa II Rzeczypospolitej. Poszukując oparcia we wszystkich warstwach społeczeństwa, ideolodzy chłopscy nie przyznawali prymatu ani idei narodu, ani idei państwa. Ich ustrojowym ideałem była republika parlamentarna mająca krzewić bezpłatną oświatę, rozwijać instytucje samorządowe i przede wszystkim zapewnić chłopom samodzielne gospodarstwa rolne, a tylko w ostateczności — rozwiązania typu spółdzielczego. Ideał ten wiązał się z kościołem katolickim i jego religią, ale sprzeciwiał się niekiedy zbyt daleko idącej ingerencji kleru w sprawy polityki państwowej. Czołowi ideolodzy chłopstwa, Wincenty Witos i Maciej Rataj, nie wyrażali ogólnospołecznych ambicji integracyjnych: rozwiązanie klasowych problemów chłopstwa czyniło zadość ich pragnieniom politycznym. Idee te ciążyły wyraźnie ku ideowemu centrum.

Także ruch robotniczy w dwudziestoleciu międzywojennym, a i wcześniej, był rozbity, mimo że umieszczany jest w jednym przedziale lewicowej myśli politycznej. Polska Partia Socjalistyczna zmierzała do zmiany ustroju kapitalistycznego na socjalistyczny, ale na drodze reform. Jej ideolodzy, m.in. Ignacy Daszyński, traktowali rewolucję społeczną jako zbyt gwałtowne rozwiązanie, a hasło dyktatury proletariatu za przesadne. Ewoluując od poparcia dla sanacji do opozycji wobec niej wiązali duże nadzieje z aktywnością związków zawodowych.

Rozwój polskiej marksistowskiej myśli politycznej związany jest naściślej z procesami rozwojowymi polskiej klasy robotniczej jako coraz bardziej samodzielnej siły społecznej. Odzyskanie niepodległości i utrwalenie się władzy burżuazyjnej w Polsce międzywojennej początkowo niekorzystnie wpływało na rozwój tej myśli. Wzrost tendencji antydemokratycznych po 1926 roku wzmacniał pozycję myśli marksistowskiej, ale w latach trzydziestych ciążyło niekorzystnie zbyt silne przenikanie do niej skutków kultu jednostki. Ogniskiem idei rewolucyjnych była początkowo Komunistyczna Partia Robotnicza Polski, a następnie Komunistyczna Partia Polski. Jej program zgodny był z podstawowymi założeniami myśli marksistowskiej stwarzającymi realne szanse najszerszej ze znanych dotychczas postaci integracji społeczeństwa we wszystkich jej istotnych aspektach narodowościowych, ekonomicznych i politycznych.

Klęska września przytłumiła najpierw hasłem walki o niepodległość kraju wszystkie te rozbieżności istniejące w myśli politycznej zagrożonego unicestwieniem narodu, by później wytworzyć dwa rozbieżne kierunki koncepcji ustrojowych. Pierwszy kierunek określały ugrupowania związane z rządem emigracyjnym, opowiadające się za potrzebą przywrócenia po wojnie w Polsce ustroju kapitalistycznego. Kierunek drugi wskazywały siły lewicowe, które marzenie o socjaliźmie przybrały w realne szaty ustrojowe w okresie po 1944—1945 roku. Szczegółowe zarysy ostatecznie zwycięskiego tego drugiego nurtu teraźniejszej polskiej myśli politycznej formułuje Polska Zjednoczona Partia Robotnicza.

Nawet tak bardzo ogólny i pobieżny rzut oka na myśl polityczną naszego narodu kształtowaną w okresie sześćdziesięciolecia lat 1918—1978 pozwala na sformułowanie tezy, że mimo okresowych wahań jest to myśl unikająca przede wszystkim skrajności. Jest to myśl wprawdzie zaznaczona rewolucją społeczną, ale nie tracącą przez to swojej historycznej ciągłości. Jest to wprawdzie myśl zamykająca się w ramach dwóch przeciwstawnych formacji społeczno-politycznych, ale nigdy nie zatracająca swego pełnego godności narodowego oblicza. Jest to myśl społeczeństwa w poważnym odsetku katolickiego, ale przecież nie klerykalnego. Jest to myśl społeczeństwa dwuświatopoglądowego, ale przecież coraz harmonijniej splatającego idee katolickie z socjalistycznymi w ramach wspólnego narodu. Jest to myśl wysoce internacjonalistyczna, ale nie antypatriotyczna. Obecnie jest to myśl narodu wewnętrznie zintegrowanego, jak nigdy w długiej już jego historii.

Roman Tokarczyk

KSZTAŁTY MYŚLI POLITYCZNEJ NIEPODLEGŁEJ POLSKI

80-LECIE TOWARZYSTWA MUZYCZNEGO W LUBLINIE

Stefan Münch

POCZĄTKÓW stowarzyszeń muzycznych w Lublinie należy szukać już w początkach XVII wieku. Miały one jednak charakter efemeryczny i krótkotrwały, a i dokumentów traktujących o ich działalności dochowało się do naszych czasów niewiele. Dopiero w pierwszej połowie XIX stulecia życie muzyczne naszego miasta popłynęło żywszym nurtem. Około 1815 r. założone zostało Towarzystwo Filharmoniczne (przewodniczył mu płk Gołkowski, a dyrektorem był zrazu Romme, potem pianista Franciszek Synek, zresztą nauczyciel Józefa Wieniawskiego), istniała orkiestra teatralna i symfoniczna, był też zespół specjalizujący się w muzyce kościelnej. W owym czasie Lublin słynął przede wszystkim za sprawą wybitnych skrzypków.

Prace nad założeniem Towarzystwa Muzycznego w Lublinie, zapoczątkowane przez popularnego ówcześnie adwokata Władysława Modrzewskiego, zostały uwieńczone powodzeniem w dniu 14 lutego 1898 roku. W tym samym roku wybrano zarząd z Wł. Modrzewskim jako prezesem. Warto może przypomnieć nazwiska ówczesnych członków zarządu Towarzystwa: St. Lewicki, St. Brzeziński, T. Szmigielski, A. Zarębski, Al. Mazurkiewicz i G. Czernicki. Wynajęto salę w Teatrze [illegible] przy ul. Kapucyńskiej 7 (do dzisiaj służy ona filharmonii...); tutaj właśnie odbył się inauguracyjny koncert z udziałem chóru i zespołu kameralnego (dyrygował Gustaw Czernicki). W rok później orkiestra Towarzystwa liczyła już około pięćdziesięciu muzyków i — zdaniem recenzentów — utrzymywała się na wysokim poziomie. Istniała także orkiestra dziecięca.

Po odzyskaniu niepodległości z inicjatywy Towarzystwa powołano do życia szkołę muzyczną im. Stanisława Moniuszki, prowadzącą edukację młodzieży w ramach trzech kursów. Po ich ukończeniu absolwenci mogli kontynuować naukę w warszawskim Konserwatorium. Pierwszym dyrektorem szkoły był Bronisław Strzyżykowski. W okresie dwudziestolecia międzywojennego Towarzystwo Muzyczne nie tylko powołało do życia instytucję przeznaczoną do kształcenia muzyków i popularyzowania tej dziedziny sztuki, lecz współuczestniczyło w procesach aktywizacji życia teatralnego w Lublinie (wystarczy przypomnieć premierę *Halki* pod dyrekcją Eugeniusza Dziewulskiego czy inicjatywy klasy dramatycznej Szkoły Muzycznej, prowadzonej przez Reginę Dziewulską) i zorganizowało szereg konkursów kompozytorskich i wykonawczych. Na zaproszenie Towarzystwa koncertowali w naszym mieście artyści tej miary, co Ada Sari, Stanisława Szymanowska, Irena Dubiska, Artur Rubinstein, Karol Szymanowski, Zbigniew Drzewiecki i Ignacy Dygas. Wydawano także czasopismo „Lubelskie Wiadomości Muzyczne".

Z chwilą wybuchu wojny działalność LTM została formalnie zawieszona. Wznowiono ją dzięki inicjatywie Wojewódzkiej Rady Narodowej już 3 VIII 1944 r. Pierwszym po wyzwoleniu prezesem został inż. L. Chełmiński, samo zaś Towarzystwo wkrótce przeszło gruntowną metamorfozę wskutek wydzielenia zeń i upaństwowienia zarówno placówek szkolnictwa muzycznego, jak i orkiestry symfonicznej, przekształconej w 1946 r. w filharmonię. Zorganizowano natomiast w mieście i województwie sieć ognisk muzycznych, a w 1958 r. powstała Średnia Szkoła Muzyczna — początkowo II stopnia, a od dwóch lat w pełnym zakresie nauczania. Nauka trwa tu od dwóch do siedmiu lat na wydziałach: instrumentalnym, wokalnym i wychowania muzycznego. Szkoła, nosząca od kilku miesięcy imię Tadeusza Szeligowskiego, prowadzi też ożywioną działalność popularyzatorską i koncertową.

Z inicjatywy działaczy Towarzystwa ogłaszano kilkakrotnie Dni Wieniawskiego, a w 1970 r. po raz pierwszy zorganizowano Ogólnopolski Festiwal Młodych Skrzypków. Przed dwoma laty lubelska impreza otrzymała status konkursu, a oprócz wiolinistów polskich wzięli w niej udział młodzi wykonawcy z Bułgarii, CSRS, NRD i ZSRR.

Tegoroczny Festiwal miał szczególnie uroczystą oprawę: dzięki staraniom działaczy Towarzystwa Muzycznego w rodzinnym mieście Henryka Wieniawskiego stanął jego pomnik, a najbardziej zasłużonym wręczono odznaczenia. W inauguracyjnym koncercie wystąpiła Wanda Wiłkomirska.

Chociaż dokładniej zajmę się muzyczną stroną festiwalu w jednym z najbliższych numerów „Kameny", odnotowuję już teraz, że laureatami pierwszej nagrody zostali: w grupie młodszej Elżbieta Głąbówna (lublinianka, uczennica prof. Oskara Ruppla), a w grupie starszej ex aequo Dariusz Błaszkiewicz (Poznań, prof. Wojciech Maliński) i wrocławianin Bartosz Bryła (prof. Adam Nowak). Zwycięzcom i ich Profesorom gratulujemy, zaś Lubelskiemu Towarzystwu Muzycznemu — współorganizatorowi tej ciekawej i bardzo pożytecznej imprezy — życzymy wielu lat owocnej pracy poświęconej Polihymnii.

Jubileusz Eugeniusza Gołębiowskiego

TRUDNO i darmo. Przyszedł jubileusz, stereotypowi musi się stać zadość. A stereotyp nakazuje najpierw wyrazić zdziwienie, że ten czas tak szybko męża w średnim wieku awansował do grona czcigodnych seniorów, następnie na cześć tegoż seniora wznieść symboliczną i niesymboliczną lampkę wina. A zatem Eugeniuszowi Gołębiowskiemu poecie i pisarzowi w 70 rocznicę urodzin zdrowia i dalszej weny twórczej!

Był rok 1944. Ówczesna młódź literacka, jako też rodzącej się literatury kibice zetknęli się z wierszami opisującymi lata okupacji, a uderzającymi tonem oryginalnym, nie wywodzącym się z kamertonu żadnej poetyckiej szkoły. Wiersze te rychło znalazły wydanie książkowe w tomie „W on czas" i dopiero wtedy doszło do dekonspiracji Autora, który czytającą lubelską publiczność dosięgał wcześniej swoimi utworami, aniżeli bezpośrednim osobistym kontaktem.

I zaczął być widziany często. Gdzie? Na mównicy Klubu Literackiego, który urządzał dyskusje na tematy nieomal wszelkie, a któremu przewodniczył sam Juliusz Kleiner. Dykcja wyśmienita, głos donośny, postawa stanowcza, takież podejście do tematu — cóż lepiej mogło prezentować młodego autora i polonistę, który w życie literackie Lublina wnosił tyle energii. No tak, pamięta się „on czas" — w stosunku do tamtego, książkowego przesunięty o kilka lat.

A był to czas szczególny, bo młody. Przy takich okazjach zwykło się mówić, że czynny, ruchliwy, naładowany inicjatywami, pełny. Tak, ale równocześnie jakże charakterystyczny, jak po swojemu wyjątkowy. Przecież istniał jeszcze Lublin z „wczoraj i przedwczoraj" (by pożyczyć określenie z tytułu później wydanych wierszy Konrada Bielskiego) i ta kontaminacja epok znalazła wyjątkowy wyraz na tym kawałku Polski. Wyjątkowy przez to, że niedawny obszar — również pod względem kulturalnym — Polski B był miejscem pierwszego etapu wyzwolenia. Stąd ruszyło. Pewnie, że Lublin opadł później do bardziej przynależnego mu stopnia wojewódzkiego, ale pamięć literackiego ożywienia pozostała i nurtowała umysły potrzebą czynu. Na placu znajdowali się starzy „reflektorzyści" i literacka młodzież (też „stara", ponieważ swój związek z tym miastem datująca jeszcze od czasów szkolnych). Ale przez długi czas zamiary — z powodów obiektywnych i różnych — nie mogły przybrać postaci realnej, tj. wydawniczej. Gołębiowski był outsiderem. I właśnie spod jego pióra wyszła pierwsza powojenna lubelska powieść „Dożywocie pana Woyszy".

Z początku nikt nie podejrzewał, że wyjdzie. Tyle nadziei pozostawało w sferze eterycznej, że kawałki powieści czytane na wieczorach autorskich, zmieniane i przypasowywane, miały wszelkie szanse zostać w postrzępionych maszynopisach. Tymczasem trafiły między okładki.

Świetna archaizacja. Sama fabuła jest sensacyjna, bo tam i z Borutą czytelnik się spotyka, ale język, język, oto główna sprężyna powodzenia tej historycznej powieści. Tak czuć staropolszczyznę! Autor skorzystał chyba z machiny czasu, która go przeniosła w XVII wiek, bo z samych lektur i godzin w archiwach nie można tak „trójwymiarowo", w tak żywym aspekcie uchwycić słowo mówione „onego czasu". Razem z panem Woyszą i jego oczyma widzimy jak wschodzi księżyc z nad browaru.

Zdawało się, że Woysza aczkolwiek tak udany, tak trafny jako towarzysz Gołębiowskiego jest mimo wszystko fragmentem Jego literackiego życiorysu. Tymczasem Woysza rzeczywiście miejsca ustąpił, ale w psychice Autora zostawił zamiłowanie do historycznej powieści jako cechę nieusuwalną. Przyszły „Przygody królewskiego piechura", przyszedł „Zygmunt August", a można powiedzieć, że i „Kapitan Cook" ma coś z tej skłonności do zaglądania w karty czasowi przeszłemu, która Gołębiowskiego prowadzi po bibliotekach Polski, Niemiec i Francji. Ha, nurkować w kurzach bibliotecznych i wyławiać z nich samo życie. Potrzeba nie lada nurka.

Jednej jednak cechy Eugeniusz Gołębiowski nie ma: zamiłowania do form organizacyjnych. Wprawdzie w latach 1956—57 był prezesem Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, ale zawsze woli w dobrym gronie wznieść naczyńko z czymś nie gorszym, niż podpisać pismo. Woli pisać niż podpisywać. Mimo to — prawem dziwnego paradoksu — Jego pozostawanie na uboczu życia organizacyjnego bynajmniej nie czyni Go nieobecnym w koleżeńskich myślach, uczuciach, pamięciach. Przez te 34 lata uczestnictwa w sprawach literackich Lublina stał się postacią jedną z pierwszoplanowych. Co nie oznacza, że ten skutek wywarła sama arytmetyka lat.

Skoro zaczęliśmy stereotypem, czy i stereotypem należałoby zakończyć? Owszem można: „Vivat, crescat, floreat", „Ad multos annos", „100 lat". Można, ponieważ nie ma obawy, by w tym wypadku schematyczna formułka przesłoniła żywego człowieka. Gołębiowski zbyt wyraźnie dał się poznać jako antyschematysta. Takim Go Lublin zna takim pamięta i takiemu dziękuje za lata owocnej, niestrudzonej, pisarskiej pracy. A życzyć? Dokonania twórcze są, życzliwość koleżeńska jest, uznanie społeczne jest. Zdrowia na zaczętą niedawno, nową siedemdziesiątkę!

Zespół „Kameny"

● Szargam świętości ● Nie było Peipera prozy ● Recenzenci piszą za autorów

Listy do gerwazego

STRACHEM przejmuje mnie to, co za chwilę powiem: nie mogę czytać powieści. Że nie mogę czytać Manna ani Rollanda — zrozumiałe. Każdy ma swój kanon lektur, a w moim nie mieści się ani ten laureat Nobla, który nie ma nic do powiedzenia, natomiast legion snobistycznych klakierów, ani ten laureat Nobla, który (z wyjątkiem „Colas Breugnon") ma do zrewelowania jedynie nobliwe i do nijakości bezsporne komunały. Na moją obronę powołam się na Hamiltona, który twierdzi, że laureaci Nobla to na ogół drugo- i trzeciorzędni pisarze.

Ale nie o to chodzi. Bo nie mogę czytać również Poe'go, którego samo nazwisko nastrajało mnie kiedyś na drżące oczekiwanie niesamowitości wspartej — jak mi wmawiano — stylistyką jedną z najtrafniejszych i precyzyjnych, nie mogę — Gogola, w którym nie widzę dowcipu, a tylko cierpliwe odbywanie wędrówki po monotonnej równinie prozy, nie mogę — Parnickiego, przez którego nie unerwione, chromatyczne pisarstwo można przebrnąć jedynie dla postulatu zaliczenia obowiązujących lektur. Czyżbym był — i to do tego stopnia — nowoczesny? Lęk mnie opada przed samym sobą, że znalazłem się na takiej pozycji.

Natomiast co dla mnie nie zszarzało? Diderota „Kubuś fatalista i jego pan", Lesage'a „Przygody Idziego Blasa". Rzecz dziwna. Obie — prawie nie powieści, obie oparte na jednej zasadzie konstrukcyjnej, a właściwie jej braku. Kubuś i pan wędrują spotykając coraz nowe gospody, pejzaże, ludzi, Idzi Blas wędruje od pracodawcy do pracodawcy zatrudniając się w charakterze lokaja. To samo. Żadnej kompozycji. Wypadki jedne po drugich nizane na nić narracji. Ale zwartość słowa, ale celność! Diderot i Lesage postępują tak, jakby nie chcieli być pisarzami, jakby wzięli do ręki pióra jedynie dla utrwalenia pamięci o pewnych autentykach, które niezależnie od zalet pisarskich utrwalić należy. I właśnie „mimochodem" jakie pisarstwo! Tym pewniejsze, że nie narażone na żadne ryzyko, skoro z góry, z założenia „nieartystyczne", „bezpretensjonalne". W polskiej literaturze odpowiednik stylistyczny tego znalazłbym u Bruno Winawera, autora „Doktora Przybrama" i „Długu honorowego". Nie wiem dlaczego tak mało się dziś mówi o Winawerze. Właśnie dziś. Bo kiedyś, w czasie, kiedy osmotycznie na teren literatury wpływała jeszcze Młoda Polska, intelektualne pisarstwo Winawera mogło nie cieszyć się znakiem pierwszej jakości. Ale dzisiaj, kiedy co drugi snob z przekąsem poczyna sobie o „świstach — poświstach", „osmętnicach" itp. nie bardzo wiedząc jakimi mianowicie ciosami je przeszyć, Winawer choćby na zasadzie snobizmu powinien być en vogue. Ale cóż. Skoro nawet „Kontrapunkt" Huxley'a nie doczekał się łaski u Andrzejewskiego.

Jestem niedoczytany. Tak. Ale dajcie mi siłę, żeby przebrnąć przez „Ulissesa", „Noce i dnie", a nawet „Schodami w górę, schodami w dół" Choromańskiego. Kolosalne marnotrawstwo słów. Mam ślęczyć tylko po to, żeby ominąć zarzut niezorientowanego? W dodatku przez przymus postawiony sobie, przymus skutecznie wyłączający uwagę, nie wiedzieć w końcu co przeczytałem, kiedy dojdzie do jakich takich czytelniczych konfrontacji? Ja przysięgły sabotażysta nowoczesności zaczynam tęsknić do perforowanej taśmy na miejsce literatury z całym mnóstwem jej zdań nijakich, wypatroszonych z treści, do rozpaczy oczywistych.

Był Peiper poezji, nie było Peipera prozy. Czy dziwne, że z łezką o tym mówię? Przecież wyrażam opinię, że arcysłuszne i ambicjonujące teoretyczne założenia autora „Nowych ust" przyniosły w rezultacie praktykę żałośnie wynaturzoną nawet u samego papieża awangardy. Właśnie. Gdyby je tak zastosować do prozy. Gdyby tak odczyścić ją z konwencjonalnego opisywactwa, z tej „literatury" potrzebnej tylko do wypełnienia zaplanowanej wielkości sceny, rozdziału, tomu. Ileż jest książek, w których ciągnę się okiem przez tekst wzywając „autorze, powiedz mi coś wreszcie", jak wzywali o kroplę wody umęczeni rozmiarem pustyni. „Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu".

Stoję przed bibliotecznym regalem, by wybrać książkę do czytania. Nie jestem maszyną czytającą w analogii do liczących, które wykonują niewiarygodnie wielką ilość operacji w niewiarygodnie krótkim czasie, dlatego multum książek mam do przeczytania po raz pierwszy. Którą wybrać? A no, zadecyduje próbka. Otwieram na chybił trafił — nic. W innym miejscu to samo. Böll, nie Böll, Greene, nie Greene — wszędzie mrowie słów nie zatrzymujących żywszej uwagi. Owszem, przy takim probierzu zdarzy mi się pominąć coś wartościowego. Ale ileż razy mając na uwadze możliwość takiej pomyłki biorę książkę mimo niekorzystnej degustacji wstępnej, by stwierdzić, że rzeczywiście nie wybrałem nic ciekawego?

Oczywiście, współczesnej powieści powstającej w warunkach „przyśpieszenia cywilizacyjnego", zdanej na presję dnia z jego wymaganiami kondensacji wypada przyjąć inną poetykę. Więc przyjmuje. W rezultacie powstaje np. „Pałac" Myśliwskiego, albo „Wózek" Krasickiego. Szanowna Recenzjo Polska! Jaki jest powód do sensacji przy tym „Pałacu" i „Wózku"? Tak, „komentarzem", „odczytaniem" można wszystko poprzestawiać. I właśnie większość utworów współczesnych — nie tylko w prozie — recenzją stoi. Recenzenci piszą za autorów. Czytelnik odsunąwszy książkę z tzw. mieszanym uczuciem, po tygodniu, dwóch dowiaduje się co za nieprzeciętne dzieło miał w ręku. I — profan — nie docenił.

Wygląda na to, że chciałbym widzieć powieść pisaną językiem symboli matematycznych. Nic takiego. Na odwrót. Z upodobaniem wdaję się w lekturę tekstów z całym zachowaniem zasad uważnego postępowania analitycznego opisujących np. zjawisko psychologiczne. Jestem przeciwnikiem galopki „po łebkach" wydarzeń. Ale nie odbieram niczego, jeśli mam do czynienia tylko ze znajomością prawideł składni i tabeli honorariów.

A swoją drogą — nigdy nie było tylu piszących, ilu wtedy, kiedy mówi się, że literatura jest niepotrzebna. Bo okazuje się, że jest potrzebna. Autorom.

Protazy

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

● Od roku 1876 w Lublinie wychodziły po trzy razy na tydzień dwa pisma: „Kurier Lubelski", „Gazeta Lubelska". Od połowy 1878 roku jedno z nich, t.j. „Kurier Lubelski", zaczął wychodzić codziennie. Wydawnictwo dwóch pism o jednakowym prawie kierunku, jakkolwiek świadczyło o obecnym lub spodziewanym w niedalekiej przyszłości znacznym rozwoju naszej prowincji, jednakże mogło być prowadzone tylko z wysiłkiem i przy wielu nader widocznych niedokładnościach. Współpracownictwo, dopiero wyrabiające się, niedostatecznie zasilało dwa pisma. Rozstrzelenie się prenumeraty i ogłoszeń pozbawiało środków niezbędnych do stopniowego podnoszenia ich wartości. Pośpiech w notowaniu faktów bieżących stawał się powodem albo podawania wiadomości nie dość dokładnych i nieopracowanych należycie, albo opóźnień, gdy potrzeba było koniecznie sprawdzić wieść nadeszłą. Niedostateczny personel redakcyjny przy każdym oderwaniu się choćby jednej osoby dla zajęć zewnątrz redakcji, nie był w możności załatwić dość spiesznie i dokładnie technicznej części wydawnictwa. Nieuniknione powtarzanie się ważniejszych wiadomości miejscowych i politycznych w obu pismach były istotną stratą miejsca, dotkliwą dla tych mianowicie, którzy prenumerowali obydwa pisma. Zarówno redakcje jak czytelnicy spostrzegli wadliwości wynikające ze współczesnego istnienia dwóch wydawnictw i niejednokrotnie dawały się słyszeć poważne głosy przemawiające za ich połączeniem. Jakoż obie redakcje ostatecznie porozumiały się ze sobą, aby od dnia 1 stycznia 1879 r. zamiast „Kuriera Lubelskiego" i „Gazety Lubelskiej" wydawać jedno pismo codziennie „Gazetę Lubelską".

● Miasto nasze i okolice od dawna odczuwają potrzebę resursy, na wzór tych jakie posiadają niektóre miasta gubernialne w naszym kraju. Z przyjemnością dowiadujemy się, że mają być przedsięwzięte starania ku urzeczywistnieniu tego projektu.

„Gazeta Lubelska"

PRZED 30 LATY

● W elektrowni Brodta przy ul. Kr[illegible] nr 3 nastąpił znów wybuch. Niewiadomo z jakiej przyczyny w powietrze wyleciała studzienka wybuchowa. Na szczęście z ludzi w pobliżu nikt się nie znajdował i obyło się bez wypadku. Na miejscu zostały wyrwane kamienie, żelastwo i ziemia. Tyle o samym wypadku. Wypadki tego rodzaju w elektrowni Brodta znane są już Lublinowi i miarodajnym czynnikom. Były już różne komisje, plecepowania, zamykania, wszystko to jednak jakoś przeszło i elektrownia idzie swoim trybem. A jednak należy wziąć pod uwagę fakt, że jest to centrum miasta i figle tej elektrowni spowodować mogą bardzo przykrą katastrofę. Nad tym należałoby się poważnie zastanowić. Chodzi tu o bezpieczeństwo bardzo wielu rodzin. Elektrownię trzeba albo gruntownie odremontować i zabezpieczyć albo zlikwidować.

„Głos Lubelski"

Wybrała Anna Orzechowska

KRONIKA KULTURALNA

● W istniejącym od trzech lat muzeum Lubelskiego Zagłębia Węglowego otwarto w październiku wystawę pn. „Lubelski węgiel", na której pokazano kilkadziesiąt fotografii Bogdanki i okolic oraz współczesne i dawne narzędzia pracy górniczej. Placówka w Łącznej, mieszcząca się w XVII-wiecznej budowli konsekwentnie, jak widać, wchodzi w swoją rolę archiwisty i propagatora tego przemysłu, który zadecyduje o przyszłości gospodarczej regionu. Przy okazji zwracamy uwagę dyrektora Jana Sila na list w niniejszym numerze „Kameny", którego autorka przypomina fakt rysowania dawnej Łącznej przez Norblina

● Natomiast Bogdanka w sezach malarzy — amatorów ze środowisk górniczych to treść ekspozycji urządzonej także w październiku w Lubelskim Domu Kultury. Obejrzeliśmy tam ponad 50 prac malarskich — było też kilka rzeźb — powstałych w czasie dwutygodniowego pleneru zorganizowanego z inicjatywy ZG Związku Zawodowego Górników. Niektóre obrazy przypominały, że tradycje górniczego malarstwa są kontynuowane rzetelnie i indywidualnie. Czy kilka choćby obrazów trafi na stałe do muzeum w Łącznej?

● Na ogół chwalą ludzie tegoroczne „Prezentacje", urządzone, jak zwykle, przez lubelską „Estradę", która zaprasza do Lublina co ciekawsze zespoły kabaretowe oraz — jak się dawniej mówiło — rewiowe. Imprezę otworzył występ Jonasza Kofty, a zakończył spektakl młodych aktorów z Jeleniej Góry, którzy udatnie interpretowali teksty Jana Pietrzaka, reżysera spektaklu. Inna sprawa, że na wyjątkowo sympatycznym i satysfakcjonującym artystycznie koncercie zespołu z Brna dziennikarze doliczyli się raptem około 50 widzów. No cóż, publiczność woli „pewniaki"...

● Pewien mętlik do tego ostatniego stwierdzenia przemyca jednak fakt, że na otwarciu wystawy plakatu Waldemara Świerzego w lubelskim BWA, twórcy na pewno wybitnego, zauważono, owszem, sporą grupę amatorów sztuki, nie stwierdzając zarazem obecności jednego choćby przedstawiciela lokalnego środowiska plastycznego czy kogoś, kto reprezentowałby władze kulturalne. Dziwne bo Świerzy to artysta o formacie co najmniej europejskim. W BWA czynna była poza tym ekspozycja grafiki i rysunku Józefa Drążkiewicza oraz malarstwa Eugeniusza „Gena" Małkowskiego. Informujemy ponadto, że rozpoczęto już przygotowania do przyszłorocznej m i ę d z y n a r o d o w e j wystawy „Przeciw wojnie" na Majdanku.

● Lubelska spółdzielnia „Wikliniarka", należąca do związku „CEPELIA", wysyła swoje wyroby do 17 krajów świata, najwięcej — do USA, Kanady, RFN, Szwecji, Holandii i Wielkiej Brytanii. „Wielu klientów — stwierdził w wywiadzie prasowym prezes Ryszard Podobiński — ma swoje dość oryginalne wymagania. Np. ostatnio dla klienta z RFN robimy z gałązek rośliny importowanej z Włoch oraz z szyszek i suszonych owoców wianki adwentowe. Mamy ich wykonać 11 tys. sztuk". I bardzo dobrze, wszak idzie nam wszystkim o intensyfikację eksportu. Powstaje jednak pytanie, z jakiej racji CEPELIA uważa się za mecenasa „tradycyjnej sztuki i rękodzieła ludowego"?

● Miłym słowem wypada nam skwitować wiadomość o uformowaniu się w Zamościu młodej grupy literackiej pt. „Zamoście". Zastanawiamy się tylko, starzy rutyniarze, czy nie za wcześnie głosić publicznie, „iż przybył na Lubelszczyźnie nie tylko nowy, lecz i prężny ośrodek, grupujący młodych twórców"? Pożyjemy, zobaczymy, a przede wszystkim poczytamy...

● Przy końcu października zainaugurowano w Lublinie „Jesień Kulturalną ZSMP". Organizatorzy obiecują wiele ciekawych imprez, m. in. przegląd zespołów artystycznych działających na terenie miasta i wieczory pn. „Zabawa jakiej nie było", urządzane raz w miesiącu przez poszczególne zarządy zakładowe Związku. Liczymy na zaproszenie!

● Koło Lubelskiego Towarzystwa Polsko-Austriackiego wspólnie z Filharmonią Lubelską przygotowało koncert artystek wiedeńskich: Eveliny Prinz (śpiew) i Eveliny Heinisch (fortepian), który stał na poziomie proporcjonalnym do jakości estetycznej sali balowej pałacu Małachowskich w Nałęczowie, gdzie obie panie wystąpiły.

● Powtarzamy, bo warto, że projektantką wyróżnionych złotym medalem na Jarmarku Dominikańskim w Gdańsku tkanin kostiumowych i ubraniowych białskopodlaskiej „Biaweny" jest p. inż. Róża Tracz która w wolnych chwilach zajmuje się uprawianiem działki, albo grzybobraniem. A zakład eksportuje swoje wyroby do krajów socjalistycznych oraz do Wielkiej Brytanii, Irlandii i Kuwejtu.

KALEJDOSKOP

W błotnistej mazi

Odwiedzili nas pp. Połtórzyccy z Bydgoszczy. Odwiedzili w stanie dość opłakanym — oblepieni błotem. „Czy władze Chełma — pytali nasi goście — nie są w stanie doprowadzić do porządku alejek na cmentarzu przy ul. Lwowskiej? Czy nie można postarać się o trochę żwiru? Tysiące ludzi, odwiedzających groby, tonie dosłownie w błocie" Skargę pp. Połtórzyckich kierujemy pod adresem prezydenta miasta, zwłaszcza że rzecz sprawdziliśmy osobiście. Bez gumiaków trudno się po chełmskim cmentarzu poruszać.

W związku ze Świętem Zmarłych otrzymaliśmy też list od p. Zygmunta Rodacza z Lublina. 1 listopada — pisze on — żądano na targu lubelskim przy dworcu PKS za chryzantemę w doniczce... 230 złotych. Przecież to już jest prawdziwy skandal! Mamy różne organa kontroli, cenniki kwiatów, a badylarze kpią sobie w żywe oczy. I w dodatku żerują na uczuciach wobec zmarłych. Czy rzeczywiście musimy się godzić z tą sytuacją?

Nie komentujemy. Odpowiedź jest dla nas jasna.

A bałagan pozostał

Ponad miesiąc temu była awaria sieci wodociągowej przy ul. Pana Wołodyjowskiego. Awarię naprawiono, ale przedtem zerwano kawałek asfaltu na jezdni. Wyrwa stanowi swoisty pomnik indolencji administracji osiedla.

Wielka bezradność

Kiosk „Ruchu" przy tej samej ul. Pana Wołodyjowskiego przecieka. Moknąą papierosy nasiąkają wodą czasopisma. Interwencje w miejskim oddziale „Ruchu" nie skutkują. „Nie mamy wykonawcy" — to zdanie ma wystarczyć jako usprawiedliwienie. Nie wiemy, jak wygląda sytuacja w innych kioskach, ale kiedy ma się taki majątek, można by się zastanowić nad stworzeniem etatu stolarza, konserwatora, czy jak go tam nazwać...

Ufonautki z Łodzi

Nie przebrzmiały jeszcze echa pojawienia się przybyszów z Kosmosu w Emilcinie (woj. lubelskie), a już pojawiła się fala sensacyjnych artykułów o kolejnych odwiedzinach zielonych ludzi. Szeroko omawiały ten temat zwłaszcza „Kulisy", zamieszczając nawet autorytatywną wypowiedź naszego słynnego ufologa, mgr Blani. Nie będziemy polemizować ze skądinąd ciekawą hipotezą Ericha von Dänikena, ale straszenie ludzi rzekomymi ufonautami uważamy za co najmniej niepotrzebne. W tej sytuacji za interesujące uznać można doświadczenie wykonane przez cztery studentki z Łodzi, które przebrały się w stroje mogące przypominać kosmitów, pomalowały twarze na zielono i zaczepiały samotne osoby w parku Staromiejskim. Żadna z kilkunastu napastowanych osób nie zainteresowała się jednak zielonymi ludzikami, można więc przypuszczać, że zainteresowanie kosmitami w naszym kraju nie jest aż tak wielkie. O incydencie tym doniósł „Express Wieczorny" nr 236. Gazeta nie podała jednak, czy studentki zaczepiały osoby obojga płci, czy też tylko mężczyzn. Nic dziwnego, bowiem gdyby zaczepiały tylko płeć brzydką, można by przypuszczać, że kierowały się innymi, znacznie bardziej ziemskimi pobudkami, a twarze pomalowały dla zmylenia przeciwnika.

Siła reklamy

Przy ulicy Buczka 12 w Lublinie znajduje się sklep „ROMIS". Na wystawie umieszczono następujący napis na szybie: materiały z upłynnienia zbędne i nadmierne. Zastanawiające, bo skoro zbędne, to po cóż je oferować klientom? Ale czegóż to nasz operatywny handel nie wymyśli? A swoją drogą zastanawiać by się można kto te zbędne i nadmierne materiały wyprodukował, ale, jak mawiał Kipling, to już zupełnie inna historia.

Doktor — bzik?

Czesław Dziemidowicz, członek Polskiego Związku Głuchych, doktorant Wydz. Humanistycznego UG Bydgoszcz napisał w „Polityce" nr 40: „Prof. dr. hab. J. Szurek (POLITYKA 35) wymienia zawody, jakich powinno uczyć się dziecko upośledzone, tj. szczotkarstwo, szklarstwo, szewstwo, bieliźniarstwo i stwierdza, że w żadnym wypadku rolnictwo. Dzisiejszy rolnik to ma być człowiek światowy, a nie głupi Jaś. To stanowisko jest reminiscencją dawnych poglądów, że jeśli dziecko jest upośledzone („tępe" — jak autor napisał) to jedyną szansą dla niego jest zawód np. szewca. A ja byłem świadkiem dwóch obron prac doktorskich osób upośledzonych..." itd. Zdaje się, że p. Dziemidowicz nie zrozumiał prof. Szurka, który pisząc: „tępe", miał na myśli dzieci upośledzone umysłowo. Trudno uwierzyć, aby w normalnym trybie nienormalny (umysłowo!) osobnik mógł napisać i obronić pracę doktorską.

Centrum — to brzmi dumnie

Dowiedzieliśmy się z „Kuriera Lubelskiego" (nr. 222), że przy ognisku TKKF „Motor" powstało lubelskie centrum walki samoobronnej taekwon-do. Skądinąd wiemy, że centrum takie istnieje w Lublinie przy Domu Kultury WSS „Społem" (Dworek Grafa). Mamy więc dwa centra w jednym mieście? Czy to nie lekka przesada? A może konkurencja? Oj, woda sodowa albo przerost ambicji!

Zaszklili!

W „Złotej rączce" („Szpilki" nr 40) znajdujemy taki oto interesujący tekst: „Z szybami też miałem to samo. Szklarza nie było, cud, że dostałem chociaż materiał. Szklenie szyb nie jest zbyt fatygujące. Musiałem tylko obrócić parę razy do punktu, bo materiał, niestety, jest kruchy". De facto, znacznie bardziej fatygujące jest poprawne pisanie w ojczystym języku. Widzieliśmy już wprawdzie masło maślane, ale nie słyszeliśmy żeby ktoś szklił szyby, które z natury rzeczy są już szklane, chociaż, jak się ktoś uprze, mogą być np. z pleksiglasu. Zdaje się, że ktoś tu szkli, ale nie okna.

Kamena str. 14

z ekranu i widzu

Dni filmu radzieckiego

W DOROCZNYM kalendarium imprez filmowych listopad poświęcony jest tradycyjnie dorobkowi i problemom kinematografii radzieckiej. Dzieje się tak od trzydziestu dwóch lat i trudno byłoby miłośnikom kina wyobrazić sobie ten miesiąc bez fali radzieckich premier i bez historycznej retrospektywy radzieckiego filmu. Nowe filmy radzieckie wchodzą na nasze ekrany również w ciągu całego roku, ale właśnie listopad uświadamia nam ze szczególną wyrazistością wielkość i rozległość tamtejszego przemysłu filmowego produkującego rocznie sto pięćdziesiąt filmów fabularnych dla samych tylko kin zarówno w potężnym „Mosfilmie" jak i w coraz silniej rozwijających się wytwórniach republikańskich. Od czasów pamiętnej premiery „Pancernika Potiomkina" Siergieja Eisensteina, od pojawienia się pierwszej wielkiej fali twórców rewolucjonizujących kino światowe: Wsiewołoda Pudowkina, Dżigi Wiertowa, Aleksandra Dowżenki czy Lwa Kuleszowa, film radziecki znajduje się w ścisłej czołówce.

W tym roku Dni zbiegają się z obchodami 61 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i 60 rocznicy utworzenia Armii Czerwonej. Nieprzypadkowo więc wprowadzono do szerokiego rozpowszechnienia „Żołnierzy wolności" Jurija Ozierowa, filmową epopeję ukazującą rolę komunistów w wyzwalaniu wschodniej i środkowej Europy spod hitlerowskiej okupacji, dzieje tamtejszego ruchu oporu oraz walkę radzieckich armii na tych terenach. Pierwsze dwie części „Żołnierzy wolności" oglądaliśmy już latem — znajduje się tam obszerna sekwencja poświęcona wyzwoleniu Lublina — teraz mamy możność ujrzeć całość tego historycznego fresku. Wśród dziewięciu tegorocznych premierowych filmów tematykę wojenną podejmuje „Front za linią frontu" Igora Gostiewa opowiadający o walkach partyzanckich na Białorusi w czasie ostatniej wojny, a dramat społeczny Władimira Szamszuria „Była cisza..." rozgrywa się wprawdzie daleko od frontu w spokojnym wiejskim pejzażu, ale wyraziście ukazuje tych, którzy c z e k a j ą na wieści o najbliższych, a zarazem ofiarnie pracują dla potrzeb frontu.

Tematykę współczesną prezentuje przede wszystkim „Sprzężenie zwrotne" Wiktora Triegubowicza, film poruszający niełatwe problemy postaw „kapitanów przemysłu" zaangażowanych w sprawę uruchomienia wielkiego kombinatu. Scenariusz napisał Aleksander Gielman, współautor słynnej „Premii" Siergieja Mikaeliana i to już powinno wystarczyć za bliższą charakterystykę. Dodajmy, że prezentowane w czasie ostatniego, V Międzynarodowego Forum Filmowego „Człowiek—Praca—Twórczość" w Lublinie „Sprzężenie zwrotne" otrzymało nagrodę dziennikarzy. Jedną z najciekawszych pozycji tegorocznych Dni Filmu Radzieckiego stanowi „Step" Siergieja Bondarczuka nakręcony przez wybitnego aktora i reżysera na podstawie opowiadania Antoniego Czechowa.

Poza filmami premierowymi lubelskie kina wyświetlają liczne wznowienia i wznowieniowe zestawy filmowe grupowane według specyfiki tematycznej lub rodzajowej: „Adaptacje znanych powieści przygodowych w filmach radzieckich", „Współczesna komedia radziecka", „Młodzież radziecka na ekranie", „Miłość w filmach radzieckich", „Śmiech to zdrowie". Z wielu propozycji poleciłbym przede wszystkim ostatni „szukszynowski" (nakręcony według noweli znanego pisarza i reżysera już po jego śmierci) film Giermana Ławrowa i Stanisława Lubszyna „Wezwij mnie w świetlistą dal". Główną rolę kreuje w nim żona Wasilija Szukszyna, doskonała aktorka Lidia Fiedosiejewna. Koniecznie też powinno się obejrzeć ostatnią komedię Gieorgija Danieliji „Mimino" oraz dawniejszą: „Afonia", z ambitnych melodramatów — „Niewolnicę miłości" Nikity Michałkowa a z filmów psychologicznych — „Sonatę nad jeziorem" łotewskich reżyserów Dunara Cylińskiego i Vansa Brasty. Film ten otrzymał główną nagrodę na Wszechzwiązkowym Festiwalu Filmowym w Rydze w 1977 r. Poza walorami artystycznymi daje on możność zaznajomienia się z mało u nas znaną republikańską kinematografią łotewską.

Wśród wymienionych zestawów zabrakło mi jeszcze jednego przynajmniej, bardzo chyba istotnego, który można by określić mianem „młodego kina radzieckiego". W jednym z ostatnich numerów tygodnika „Film" jego stały moskiewski korespondent Walerij Głowskoj przypomina w artykule „Młode kino-nowe kino?" o ogromnym napływie młodych twórców: „Ta generacja — w porównaniu z młodymi artystami lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych — jest przede wszystkim znacznie liczniejsza. 122 debiuty reżyserskie w ciągu 4 lat — to liczba dostatecznie przekonywająca: co piąty film realizowany obecnie w ZSRR z filmami telewizyjnymi włącznie jest dziełem debiutanta".

Zabrakło mi „Zwiastowania" Larisy Szepitko, „Jak zranione ptaki" Nikołaja Gubienki, „Niedokończonego utworu na pianolę" Nikity Michałkowa, filmów Josielianiego, Michałkowa-Konczałowskiego, Lotianu, Paradżanowa. Chętnie bym też obejrzał ponownie „Cudze listy" Ilji Awerbacha, czy któryś ze sprowadzonych do Polski filmów Wasilija Szukszyna — „Wasz syn i brat" i „Pogwarki". (Choć to dzieła przedstawiciela starszej nieco generacji twórców). No i coś z klasyki: Eisensteina czy Dowżenkę. Myślę, że wspomnianemu tematowi warto by poświęcić w najbliższym czasie specjalną sesję w organizowanym m. in. przez OPRF w Domu Nauczyciela w Lublinie — centrum kultury filmowej.

M. D.

POCZTA literacka

K. Z. Szczecin. Z samych tytułów cyklów wnosić można, że zamierzył Pan rzecz liryczną, intymną, konfesyjną, tymczasem użyte środki wyrazu zdają się nie wiedzieć, do jakich celów zostały powołane. Pewnie, że muzyczny model poezji typu Czechowicza, Leśmiana, czy Tuwima jest dziś nie do podjęcia, niemniej jednak ucho czytelnika chwyta w tych wierszach jakieś niedostrojenie. Rzecz do dyskusji? Do dyskusji. I nawet w rozmiarach szerszych niż refleksja na temat pańskich wierszy, ale cóż robić, wrażliwość czytelnicza też ma swoje do powiedzenia.

M. B. Kielce. „Cecylia" nie jest opowiadaniem. Jest relacją z faktów, które się zdarzyły, względnie nie zdarzyły; w najlepszym zaś razie gawędą, którą się nawet wdzięcznie czyta. Nie ma jednak postawienia problemu, rozegrania kwestii środkami ekspresji literackiej, zasugerowania filozoficznego wniosku otwierającego spojrzenie na życie w sposób uogólniający. Ponieważ perypetie w tekście nagromadzone należą do niecodziennych, czytelnik nie przerywa lektury, ale wciąż oczekuje konkluzji, która w końcu nie następuje. Szkoda, bo tzw. warsztat jest w sposób widoczny opanowany. Natomiast powiedziałbym, że nadmiar (jeśli tak wolno sprawę postawić) perspektywy filozoficznej znajduje się w wierszach. Co mam na myśli? To, że tak ważne, tak ostateczne sprawy, jak śmierć chce Pani „załatwić" wierszem jednym z szeregu, „jednym z". Prozatorska wersja „Pijanej śmierci" — lepsza. Ale po co pisać w dwóch wersjach?

F. G. K. Lublin. Te metafory są chaotyczne. Nie precyzyjne, nie nacelowane, bezładne. Chociaż — zastanawiające. Ale dziwna rzecz: o ile Pan sam siebie ambicjonuje w kierunku ujęć przenośnych i alegorycznych, o tyle czytelnik preferuje teksty o większej przejrzystości. Nie chcę niczego sugerować, ale przypuszczam, że to „zagęszczenie" wynikłe z wprowadzenia ciemności jest stanem przejściowym i zniknie z rychłym przyrostem pisarskiej autorefleksji.

S. P. Stalowa Wola. Humoreska nie jest dowcipna. Ale sprawia recenzentowi „zagwozdkę", ponieważ dowcipną nie będąc zawiera pewne potencjalności filozoficzne, których nie można zlekceważyć. Może więc zmienić gatunek? W każdym razie jestem ciekaw dalszych pańskich prób w dziedzinie przekornego wyrażania myśli.

R. W. Tarnogród. Ma Pan dużą łatwość konstruowania interesujących fabuł, ale do literackiego pisarstwa stąd jeszcze kawałek drogi. Istnieje różnica między gawędziarzem a literatem. Oczywiście bywają ciekawi gawędziarze i kiepscy literaci, ale to inna sprawa. Nie przeprowadzam tu rozgraniczeń pod kątem wartości, ale gatunków. Musi się Pan zdecydować: po co? Jeżeli dla zajęcia słuchacza, spędzenia z nim paru ciekawych chwil przy dobrej herbacie — wystarcza. Ale jeśli ma Pan na myśli literaturę, należy zdobyć się na próbę światopoglądowych i moralnych odniesień przyłożenia własnych miar do materiału opisywanych wydarzeń. Nie wszystko, co się czyta łatwo pozostawia ślad czytelniczy, nie wszystko, co się łatwo pisze posiada literacką wartość. Brakuje mi w tych tekstach ryzyka, zmagań się autora z sobą, a przede wszystkim — niezadowolenia z raz osiągniętego stanu.

W. S. Poznań. Takich wierszy (szczególnie przy dzisiejszym rozluźnieniu wymagań formalnych) można napisać sporo i wszystkie będą jednakowo dobre. Proszę zauważyć: mówię „jednakowo dobre", nie „jednakowo złe". Ale ich wadą jest właśnie to, że są jednakowe. Nie mylić z jednakową tonacją, konsekwencją w stosowaniu określonych prawideł poetyki. Np. Lechoń i Leśmian są zawsze „jednakowi". Ale będąc jednakowi formalnie są nieustannie czynni we wnoszeniu nowych pierwiastków do raz przyjętego sposobu patrzenia na świat. Natomiast u Pana (nie chodzi mi o pomniejszenie przez porównanie z tamtymi wielkimi) działa jakiś — sprawny! — mechanizm powielania zdobytych osiągnięć i to mnie niepokoi. Trzeba być trochę niezadowolonym z siebie.

E.F. Sandomierz. Na mój gust za dużo tu behawioryzmu tego grubymi nićmi szytego. Wprawdzie są tego przykłady we współczesnej poezji (choćby ostatnie dwa tomy Świrszczyńskiej), ale na moje wyczucie jest to postawa, która — słusznie — wytraca już aktualność. Ponadto wyczuwam w tym pozę, gest, grę na „siłę przebicia". Myślę, że sam Pan się z tego otrząśnie. Z mojej strony — życzenia.

T.U. Biała Podlaska. Budzi sympatię pańskie poezjowanie „na własny użytek", bo dowodzi, że pisanie wierszy nie całkiem się stało elementem obyczaju, czy społeczno-towarzyskiego konwenansu, ale wynika z potrzeby serca. Życzę dalszych udanych wierszy i mam nadzieję, że z czasem może zainteresować się tym jakieś wydawnictwo.

Urszula W., H.W. Wrocław, W.Ch. Kielce, B.A. Tarnogród, A.J.G. Lublin, W.G. Warszawa, J.W. Radom, J.K. Lublin, R. C. Pruszcz Gdański, R.A.L. Bytom, J.J. Żnin — nie skorzystamy.

KRZYŻÓWKA (nr 23)

Poziomo: 4. pisarz polski, autor „Czarnych skrzydeł", 8. pisarz francuski, autor „Komunistów", 10. poeta francuski polskiego pochodzenia, który nazywał się naprawdę Kostrowicki, 11. drewniane naczynie na wodę dla zwierząt, 15. przy mankietach, 16. należy je pobierać wchodząc do samu, 18. sanacyjny obóz koncentracyjny, 21. udziela ślubów, 23. nie — zawodowiec, 24. lodowy opad, 26. łąka w górach, 26. przerodził się z Gustawa, 27. mocne piwo angielskie, 28. utwór sceniczny, 32. okres historyczny, 34. zawilec, 35. działo, 39. pisarz polski, autor „Zmór", 40. dowódca małego statku, 41. pisarz polskiego renesansu, organizator Akademii Zamojskiej.

Pionowo: 1. poeta białoruski, tłumacz poezji polskiej, 2. zespół autorów filmowych, 3. droga przez rzekę, 5. różnica wahań, 6. producent żywności, 7. sucha trawa, 8. część spadłego na ziemię ciała niebieskiego, 12. kręcą się na nich koła, 13. angielski zamek do drzwi, 14. podobny do kilofa, 15. polski motorower, 17. miasto w woj. elbląskim, 18. dawne ciepłe okrycie, 19. jazda okrężna, 20. pieczenie w gardle, 22. pisarz lubelski, autor utworów dramatycznych, których fragmenty były drukowane w „Kamenie", 23. Kiejstutowa córka z „Konrada Wallenroda", 29. imię wieszcza, 30. kamień ozdobny, 31. westernowa knajpa, 33. skorupiaki, 36. korozja, 37. góry w Europie, 38. stolica Ghany.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

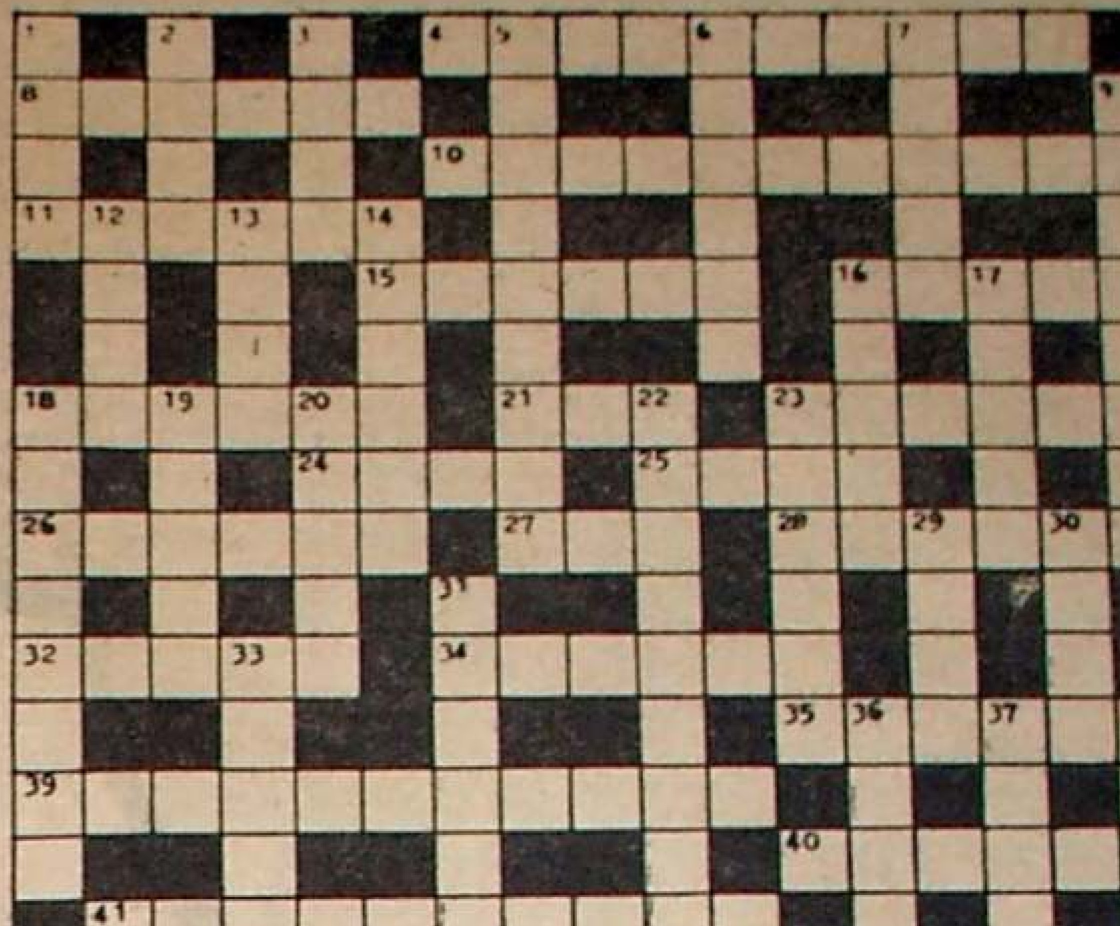

Rozwiązanie krzyżówki z nr 21

Poziomo: Grochowiak, tutnia, obiektywizm, Pranie, siodło, stopa, Lidice, sok, Alaska, etyk, rura, trwoga, ido, okrasa, widma, Europa, troska, Kostrzewski, pączek, Proserpina.

Pionowo: stop, aria, Wici, Rybkowski, Hektor, inwit, ambasada, Ryki, nici, esteta, szlak, olsza, Lutowski, Dawid, cegła, Kropotkin, aromat, runo, stok, meteor, metro, rząd, Suza, arka.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 21 bony książkowe po 40 zł za każdy wylosowali: Stanisław Widź 23-200 Kraśnik Świerczewskiego 4 Maria Zawisza 22-200 Włodawa, szpital, Helena Marzec 25-201 Kielce, Wojska Polskiego 116, Bogusław Piasecki 20-410 Lublin, 1 Maja 27/4.

Listy do kameny

KULTURA W OSIEDLU

W „Tygodniku Kulturalnym", a później w „Polityce" czytam o spółdzielni mieszkaniowej „Chemik" w Kędzierzynie — Koźlu, która potrafiła stworzyć dobre i ciekawe warunki życia kulturalnego dla wszystkich bodaj pokoleń. W ciągu kilku miesięcy (!) w osiedlu „Leśna" zbudowano boiska do siatkówki, korty tenisowe, boisko do piłki ręcznej, fontannę z brodzikiem dla małych dzieci, dom kultury. Czytam o standardowych domach, które nabierają innego, ludzkiego wyrazu, bo otoczono je piękną zielenią, o którą stale troszczą się pracownicy i mieszkańcy spółdzielni. Czytam o sensownie rozmieszczonych sklepach...

A potem biorę do ręki „Kurier Lubelski" z połowy października, aby na ostatniej stronie znaleźć dwa duże zdjęcia chłopców, którzy na wzór alpinistów wspinają się po jakiejś skarpie osiedla im. Prusa LSM. Całość wieńczy napis o „niebezpiecznych zabawach" chłopców mieszkających w tym osiedlu i apel do rodziców, aby przypilnowali swoje dzieci.

Powiem krótko: takie informacje i apele budzą głęboki niesmak, bo są przejawem jakiejś fatalnej łatwizny i struślej polityki. Rzecz w tym, że właśnie osiedle im. Prusa, o którym czasami prasa przebąkuje w miłej tonacji, choć naprawdę nie wiadomo dlaczego, że właśnie to osiedle, istniejące już prawie trzy lata, jest całkowicie pozbawione urządzeń kulturalnych i sportowych. Poza placykami zabaw — bardzo skromnymi — dla najmłodszych, nie ma tu żadnego boiska sportowego, chociaż są dobre tereny dla takiej właśnie funkcji — także pod oknami samej administracji osiedla, która swoją aktywność na rzecz najmłodszych ogranicza do obietnic. W rezultacie dzieciarnia wspina się na skarpy i bawi się „w wojnę" w pomieszczeniach skandalicznie długo wykańczanego budynku zarządu LSM. Zabrzmi to paradoksalnie, ale właśnie ten nie ogrodzony obiekt jest jedynym atrakcyjnym miejscem zabaw dzieci osiedla i trudno się dziwić, że kilkulatki i starsi chłopcy ciągle tam przesiadują. Niektórzy dorośli przepędzają dzieciarnię, bo to łatwiejsze od wystąpienia z jakąś sensowną inicjatywą, dzięki której znalazłoby się w osiedlu boisko sportowe czy coś w tym rodzaju.

Owszem, mówi się, że osiedle im. Prusa zyska cały ośrodek sportowo-rekreacyjny. Ale mówi się tak już trzeci rok, gdy tymczasem można by już teraz, wysiłkiem samych mieszkańców i administracji uatrakcyjnić życie dzieci osiedla. Można by? Nie jestem jednak taki pewien, albowiem poznałem charakter „więzi społecznej", obowiązujący w osiedlu, a sprowadzający się w wielu wypadkach do zapatrzenia się w to, co m o j e. Moje, na przykład, dziecko może niszczyć zieleń, bo to jest m o j e dziecko, inne zaś dzieci należałoby lać przy byle okazji, bo to są o b c e dzieci. Smutne to, niegodne ludzi mających pretensje do dojrzałości. Sporo też mówi o poczuciu społecznej lojalności fakt nieustannego łamania przepisów drogowych w osiedlu przez niektórych posiadaczy samochodów, którzy bezceremonialnie lekceważą zakaz wjazdu w głąb osiedla.

Tadeusz Baranowicz
Lublin

NORBLIN W ŁĘCZNEJ

Wraz z rozwojem Lubelskiego Zagłębia Węglowego rozwinie się zapewne muzeum w Łęcznej, które ze względu na swój charakter będzie specyficznym łącznikiem między tradycją a dniem dzisiejszym. I właśnie dlatego pragnęłabym przypomnieć, że swego czasu przebywał w miasteczku i rysował je wybitny artysta, Jan Piotr Norblin, uważany za inicjatora polskiego malarstwa narodowego i polskiej szkoły batalistyczno-rodzajowej. Nie wiem, czy muzeum w Łęcznej posiada jakieś prace Norblina, ale jeśli nie — może warto by pozyskać je dla zbiorów tej placówki, choćby w formie depozytu właściciela rycin? Byłyby to na pewno atrakcyjne eksponaty.

Zofia Klepacka
Puławy

„ŚCIĘCIE SŁUPA"

Ponad cztery miesiące temu (patrz „Kamena" nr 12 z br.) skierowałam list do redakcji, prosząc w nim miejskiego konserwatora zabytków w Lublinie o wyjaśnienie okoliczności rozebrania i całkowitej likwidacji słupa ogłoszeniowego przy ul. Narutowicza, który to obiekt był wpisany do rejestru zabytków. Niestety, do dziś nie otrzymałam odpowiedzi. Ponawiam zatem swoją prośbę, bo sprawa ma znaczenie społeczne.

Aniela Kochańska
Lublin

Od redakcji: Przyłączamy się do prośby naszej Czytelniczki w przekonaniu, że Konserwator Zabytków m. Lublina odpowie możliwie szybko i wyczerpująco na pytanie zawarte w liście. Przy okazji przypominamy Muzeum Okręgowemu i ZO Związku Polskich Artystów Plastyków w Lublinie, że do dziś, po upływie czasu przewidzianego Uchwałą Prezesa Rady Ministrów z lutego 1978 roku w sprawie krytyki prasowej, obie instytucje nie odpowiedziały na naszą interpelację w kwestii muzeum biograficznego Zenona Kononowicza przy ul. Skłodowskiej w Lublinie. Nadal czekamy na wyjaśnienie.

Chcesz terminowo otrzymywać „KAMENĘ" zamów prenumeratę

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny.
— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.
Cena prenumeraty rocznej — 78.—
Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH"
Zakłady pracy instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.
Wydawca RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im PKWN. Unicka 4. Zam. 2758.

Numer łamali: Mieczysław Psujek i Gabriela Łapaj, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia.

Nr indeksu 36251

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, z-ca red. nacz. 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas. 2552/1978/23

NOS

RYS. ANDRZEJ GRUN

Janusz Gaudyn

AFORYZMY

Jeśli kobieta powie ci, że jesteś jej drugim mężczyzną, ciesz się, że nie ostatnim.

●

To mężowie przez swój nieustanny brak czasu stworzyli kochanków.

●

Grzechy diabła warte zostaną oceniane w piekle.

●

Życie uczy, ale nikomu nie pozwala powtarzać klasy.

●

Życiorysy niektórych ludzi przypominają mi ser szwajcarski. Dziura obok dziury, ale ser smaczny.

AKTUALIA

Powiedz mi gdzie jadasz, a powiem ci kim jesteś.

★

Zakochała się JESIEŃ w WIOŚNIE, ale czeka aż WIOSNA podrośnie.

★

Zwycięstwo ma wielu ojców, klęska tylko jednego.

(J. Kalinowski o polskich siatkarzach)

★

Dzisiejszym dziewczętom nogi wyrastają wprost z migdałków.

(„Siódemka" TV)

Przygotował: Ryszard Dunin

Wojowniczy monolog z lirycznym dialogiem

Czesław Kuriata

ZNOWU go nie ma. To już trzeci raz z rzędu w tym tygodniu. Często nawet dzień w dzień wraca tak późno. Dom uważa za hotel. Przychodzi tylko po to, żeby się najeść i wyspać. Przez cały dzień nie mam do kogo ust otworzyć. Nie, tym razem ja mu tego nie daruję! Miarka się przebrała! Po prostu każę spakować manatki i wynocha! Nie mam z niego żadnego pożytku. Nie dość, że wraca w nocy, to jeszcze żąda kolacji a ja muszę koło niego skakać jakby on był nie wiadomo kim. „Cackać się jak z dzieckiem. Nigdy nie usłyszę od niego dobrego słowa! Jeśli powiem coś, odburknie mi pod nosem i zaraz idzie spać. Dzisiaj wóz albo przewóz! Czy po to wychodziłam za mąż, żeby dalej siedzieć w domu jak zakonnica? Inni mężowie wracają zaraz po pracy, wychodzą z żonami na spacer, idą do znajomych, do kina. Od pół roku nie byłam na żadnym filmie. Inni pomagają żonom we wszystkim piorą i sprzątają stoją w kolejkach. Mąż Marszewskiej co dzień gotuje obiady, bawi dzieci — i to wtedy, kiedy Marszewska jest u przyjaciółki albo u fryzjera. Ja już nie pamiętam kiedy ostatni raz byłam u fryzjera. Nie, to nie jest życie, to gorsze niż katorga! Gdzie ja miałam oczy wychodząc za niego? A tylu innych, porządnych zalecało się do mnie. Ale ja, na swoje nieszczęście, wybrałam jego. Kiedy mu na mnie zależało, potrafił być miły, słodki. A jakże, nie widział poza mną świta. Nie dość, że przychodzi w nocy, to jeszcze i rano muszę przy nim skakać, szykować śniadanie. Prawie każdego dnia przed wyjściem do pracy robi mi awantury, że nie ma czystych chusteczek, że koszule niedoprasowane, że nie wyprałam odpowiednich do garnituru skarpetek.. On nawet sam sobie nie upierze skarpetek! Wszystkie moje znajome wyśmiewają się ze mnie. I to taki ktoś, jak on, potrafił zrobić ze mnie niewolnicę, służącą, którą można do woli pomiatać! Jemu wszystko wolno, a ja muszę dzień w dzień siedzieć w domu i cierpliwie na niego czekać. Tak, powiem mu spokojnie, ale zdecydowanie: Wynoś się z domu. Spakuj swoje manatki i żebym ciebie więcej nie widziała na oczy"! Tak właśnie mu powiem. Już widzę jego zdziwioną minę. Na pewno pomyśli, że ja żartuję, ale tym razem nie będzie to żart. Już jutro zadzwonię do adwokata. Skończę z nim raz na zawsze! Mogę jeszcze zacząć życie od nowa a on beze mnie zginie jak amen w pacierzu! Skończy marnie jak sam tego chciał... Kiedy zorientuje się, że to nie przelewki będzie mnie błagać na kolanach, przyrzekać poprawę, ale ja będę twarda. Nie dam się już więcej nabrać, nie uwierzę w jego lisie, fałszywe słówka... Cześć, pa pa, adieu...! Boże jaka ja będę nareszcie wolna! Niezależna od nikogo; wreszcie dowiem się co to prawdziwe życie! Która to godzina? Jedenasta? No tak, jak zwykle przyjdzie tuż przed północą. Już teraz odłożę jego rzeczy, po co ma jutro robić bałagan w szafie... O, najpierw wyjmę jego koszule.

(rozlega się gromkie dobijanie do drzwi)

ONA: Kto tam?

ON: Otwórz, do cholery!

ONA: Chwileczkę, kochanie, już biegnę...

(odgłos otwieranych drzwi)

ON: Co ty sobie wyobrażasz! Trzymasz mnie pod drzwiami pół godziny!

ONA: Przepraszam, nie usłyszałam od razu pukania... Nie gniewaj się, Stefuś... Popatrz, wyprasowałam twoje koszule... Skarpetki i chusteczki też masz wszystkie wyprane w bieliźniarce...

ON Czego stoisz i gapisz się! Jestem głodny jak pies!

ONA: Och, przepraszam, Stefuś... Przygotuję dla ciebie twoje ulubione serdelki. Jak to dobrze, że dzisiaj wróciłeś trochę wcześniej... Ja już myślałam...

ON: A która to godzina?

ONA: Dopiero jedenasta...

ON: Cholera, zaszliśmy jeszcze całą paczką na brydża do Barcelaka, ale on na pewno znowu gdzieś się szlaja!

ONA: No, Stefuś, rozchmurz się... Jutro na pewno go zastaniecie.

ON: Dawaj wreszcie to żarcie!